



LECH
CHODACKI





INTRUZ







LECH
CHODACKI

ZiKI
SPRAWY

Żałuję, że moja Mama nie może przeczytać tej książki.

Dedykuję „Dziki sprawy” Żonie, Córce i Bratu.

|

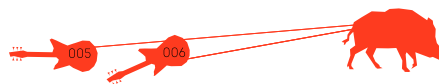
Wiesław Dziki Kaniowski



13 grudnia 2022 roku zmarła Wanda, żona Wiesława Dzikiego Kaniowskiego.
Pierwsza, niemal kompletna wersja „Dzikich spraw” została ukończona jeden dzień wcześniej.

Dziki i wiele innych osób mówią w tej książce o Wandzie Kaniowskiej za Jej życia.

Dla każdego, kto przeczyta „Dzikie sprawy” będzie jasne,
że gdyby nie Pani Wanda, ta książka nigdy by nie powstała.



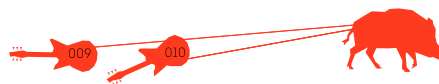
Najważniejszy dzień w życiu Wiesława Kaniowskiego to 13 września 1986 roku. W tym zdaniu kluczowe jest słowo „życie”. Bo w pamiętną sobotę Dziki wymknął się śmierci. Później udało mu się to jeszcze dwukrotnie. Ale najważniejszy jest ten pierwszy raz, który nastąpił miesiąc po 36. urodzinach Dzikiego. Są w jego życiu chwile piękniejsze, pełne zachwyty, nieporównanie szczęśliwsze i bardziej wzniosłe. Ale dzisiaj Wiesiek może opowiadać o ślubie z Wandą, o przyjściu na świat córki Sylwii i o tłumie wypełniającym katowicki Spodek, kiedy on szalał na scenie, dzięki temu, że wcześniej znalazł w sobie siłę, żeby uciec przed – jak sam ją nazywa – „panią na biało z kosą”. Dlatego letnie, sobotnie przedpołudnie w 1986 roku jest najważniejsze.

Tego dnia, kiedy odbijał się od dna, miał trochę szczęścia. Ktoś tam na górze wyraźnie go lubi, bo pogoda była wtedy ładna – wrześniowy dzień, kiedy żałujemy, że lato się już kończy, zamiast się cieszyć, że jeszcze trwa. Ktokolwiek miał na Wieśka baczenie z góry, zadbał o to, żeby dać mu szansę, mimo że była sobota. Dziki nie pocałował klamki, ponieważ abstynenci szykowali rocznicę niepicia jednego z członków. Mało szczęśliwych zbiegów okoliczności? W takim razie jeszcze jeden: Klub w ogóle istniał. Działał od roku z hakiem, wystarczająco długo, żeby grupa otrzeźwionych alkoholików okrzepła i mogła dać oparcie takim biedakom jak Wiesiek.

Chwile z paczką Klubowych na schodkach budynku przy ulicy Jagiełły wryły mu się w pamięć. „Godzinę siedziałem, jak to przejść”. Spalił kilka papierosów i ciągle odwlekał decyzję. Po trzydziestu paru latach wspomina, że atakowały go dwa pytania: „Jak mnie tam przyjmą?” i to trudniejsze „Czy dam radę?”. To raczej nie było szlachetne zmaganie wypełnione refleksją nad egzystencją. To musiała być męka, mozolna mordęga, bardziej podobna do mordobicia niż walki. Dziki wiedział, co to bitka, ale tym razem nie dało się dać po pysku, żeby być górą.

Gdy sobie próbuję wyobrazić ten moment, to widzę Wieśka przycupniętego, skulonego, pokurzonego, zdruzgotanego i myślę, że to nie jest romantyczna scena. Ale bohaterska na pewno. Najważniejsze, że ta nasiadówka skończyła się szczęśliwie. Wydaje mi się bardzo prawdopodobne, że Ten, który wyraźnie lubi Dzikiego, posłużył się szefową Poradni Profilaktyki i Leczenia Odwykowego, Ireną Harmatą. Dziki usłyszał głos z góry:

– Obserwujemy, jak pan tu już godzinę siedzi – zagadnęła z balkonu kierowniczka.
– Pan do nas?
– Tak – potwierdził Wiesiek. I dodał – Nie wiem, jak ten czarodziejski próg przekroczyć i do was dojść. – Zapraszamy!



W ten sposób Dzikie wstąpił do oświęcimskiego Klubu „Abstynent”.

To był wyczyn przewyższający wszystkie jego wcześniejsze, sławne i niesławne dokonania. Popijał od zawodówki, której zresztą nie skończył. Jeden rok spędził w szkole Oświęcimskich Zakładów Naprawy Samochodów, kolejny u Salezjanów. Chociaż nie dotrwał do drugiej klasy, o trzeciej nie wspominając, jeszcze przed dwudziestką dostał robotę. Jako odlewnik zarabiał „dobre pieniądze”, mimo że do pracy przychodził „na cyku”. W PRL-owskich Zakładach Chemicznych, jeśli nawet nie było to normą, to uchodziło płazem. O pierwszej połowie lat 70. Dzikie mówi: „zaczęłam grandzić troszeczkę, strasznie piłem”. Można w tym usłyszeć przechwałki dawnego rozrabiaki, ale i skruczę wytrwałego abstynenta.

Wiesiek lubi dosadne sformułowania. W rozmowach z nim wracają też utarte frazy. Jakby uznać, że skoro te powiedzonka dobrze oddają sens, nie ma po co szukać innych. O kawalerskich czasach powie: „wódka była moją kochanką”. Przyznaje, że małżeństwo go nie zmieniło. Przez długich 12 lat po ślubie alkohol wciąż nim rządził. „Piłem wszystko oprócz gorącego asfaltu”. „Byłem strasznie agresywny, jak byłem wypity. Gościu mógł mieć dwa metry, ja i tak szedłem w bój. Wiedziałem, że dostanę po pysku, ale zawsze mówiłem »morda nie szklanka, nie rozbije się«”.

Przy butelce śpiewał „Słodkiego, miłego życia”, a po przepiciu „Od rana mam dobry humor”. Byłem wtedy grzecznym uczniem, więc muszę polegać na opowieściach z drugiej ręki. „Jak się lubiło towarzystwo, jak się chodziło po knajpach, to nie znać Dzikiego to po prostu byłby jakiś cud. Szołmeństwo miał we krwi zawsze. Przyciągał uwagę i strasznie go to cieszyło. Człowiek go traktował jako takiego pijaczka Matołka. »Dzikie, wydaj okrzyk, piwo ci postawię«. I Dzikie darł mordę”.

Regularnie odstawiał ślapstickowy popis na basenie. W specjalnym kostiumie uszytym ze spodni-ogrodniczek z obciętymi nogawkami przymierzał się do skoku, łapał za głowę albo za pośladki, markował strach, udawał rozterki i rzucał się w wodę z pięciometrowej wysokości. Ludzie, zamiast pływać, patrzyli, co on wyrabia.

„Wejście smoka” do polskich kin nie ominęło „Luny”. Na fali mody na kung-fu nad Wisłę zawitali dalekowschodni akrobaci sprzedawani jako mnisi Shaolin. Dali przedstawienie na lodowisku w Oświęcimiu. Ktoś mi przytoczył zasłyszana relację o gwoździu programu, sztuczce, która groziła śmiercią. „Miecz na brodzie, pustak na głowie”, konferansjer buduje napięcie, prosi o uwagę w kulminacyjnym momencie i o zachowanie absolutnej ciszy, gdyż od tego zależy nie tylko powodzenie pokazu, ale w ogóle życie artystów sztuki walki. Skupienie. I wtedy wrzask Dzikiego. Ten specyficzny modulowany falset stylizowany na bojowy okrzyk. Cała hala w śmiech. Wiesiek sprzątnął show sprzed nosa mnichom z Shaolin.

Pozytywny i wesoły koleś – tak Dzikiego pamiętają kibice hokejowej drużyny Unii Oświęcim, która awansowała do pierwszej ligi w 1983 roku. Na lodowisku w Oświęcimiu było wtedy słychać specjalną wersję popularnego na stadionach, niewybrednego okrzyku. To zawołanie wymaga osobnego objaśnienia. Zaczyna się od nazwiska zawodnika przeciwnej drużyny, po którym następuje gromkie „Co?!” zakończone grubym wyzwiskiem nie do zacytowania. Otóż napastnik szczególnie nie lubianej Polonii Bytom, Jan Piecko, reprezentował Polskę na zimowej olimpiadzie, gdzie nasi cztery razy dostali srogie baty. Maskotką igrzysk w 1984 roku był animowany wilczek, który, skacząc na nartach, śpiewał: „Sarajevo!”. Pora przytoczyć okrzyk na meczach Unia – Polonia:

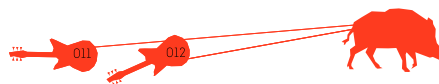
Kibice: Piecko! Co?!

Dzikie (solo): Sarajevoooo!...

Wiesiek pajacował i błaznował, więc uchodził za atrakcję, gdzie by się nie pojawił: pod budką z piwem, przed Zakładowym Domem Kultury i na ogródkach. Wokół dwóch uliczek, Smoluchowskiego (przy tej właśnie Dzikie mieszkał) i Marchlewskiego, już wtedy, w gierkowskim PRL-u były skwerki, huśtawki i ławeczki. Dzieci rozkładały tam namioty, a dorośli koce i spędzali ciepłe popołudnia, niekiedy zakrapiane wieczory, czasem z gitarą albo innym akompaniamentem. Wiem o nich od dawna, ale dopiero niedawno dowiedziałem się, jak się to miejsce w samym środku Osiedla nazywa. Ogródki. Również tam Dzikie pałętał się, budząc wesołość albo politowanie.

Wesołe opowieści o wariackich wybrykach jeszcze dziś brzmią jak przechwałki. Zabawa, wygłupy, na pozór beztroskie życie. Ochłaj tygodniami. Z zawiadki, grandziarza i chachara zostawał menel i nic więcej. Siadał w fotelu i za kompana do picia miał nienastawiony budzik. Zdarzało się, że wychodził z domu w środku nocy. Kto potrzebuje, kupi wódkę o każdej porze. Budził się w piaskownicy z niedopitą flaszką. „Degeneratem, głównym byłem. Zdeptać to, na łopatę, wpierdolić gdzieś w kosz i dobra jest”.

Im ostrzejsze chłanie, tym prawdziwsze zwiady i omamy. Niedomknięte drzwi drażnią, każą wstawać, iść, zamykać – chociaż żona się dziwi, co mu tak przeszkadza, jak ma nie zawadzać, kiedy zyga i drażni – po co mają być uchylone, kiedy mogą być zamknięte, no to znowu idzie zamknąć, a te cholerne drzwi otwierają się szerzej. W progu pani na białą z kosą mówi: „Chodź”. Śmierć po niego przyszła. Dostał szał. Ochłonął dopiero, gdy przyjechało pogotowie i dostał szprycę na uspokojenie.



Na rękach i nogach zostały sznity, bo się ciął. Czy to była już próba samobójcza, czy jeszcze zapijaczony wrzask, że chce ze sobą skończyć? A jakie to ma teraz znaczenie? Wydaje mi się, że Dziki pokazuje blizny na ramionach i kostkach, żeby słowa o życiu i śmierci nabrały właściwego ciężaru. Żeby tego, co mówi, nie brać za błahe opowiadki i przechwałki. Żeby jego samego nie traktować jak eks-menela, który próbuje wyrzucić na rozmówcy wrażenie wspomnieniami dawnych pijatyk. To nie są podśmiejuchki. Myślę, że z tego samego powodu wiele razy publicznie opowiadał o wieszaniu się na oświęcimskich bulwarach, choć dzisiaj nie chce już do tego wracać.

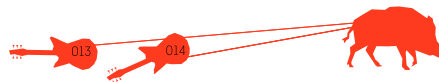
Takie dzikie historie wypełniają kilkanaście lat. Im bliżej przełomowego '86 roku, tym są bardziej ohydne, mroczne i parszywe. Poprosiłem Wieśka, żeby ich nie przemilczać. Bez nich wszystko, co działo się później, ma inny sens. Dziki nie przyszedł do Klubu „Abstynent” dlatego, że władze zapowiedziały podwyżkę cen napojów alkoholowych od 14 września. Naprawdę zapowiedziały, nie zmyśliłem tego. Dziki rzucił chłanie w sobotę, 13 września 1986 roku, dlatego że stwierdził: „Muszę coś ze sobą zrobić, bo się zapiję i szybko polecę”.

Dziki otrzeźwiał, kiedy teściowa dostała udaru. Dziś odtwarza daty, biorąc za punkt odniesienia desperacką wyprawę na ulicę Jagiełły. W piątek mama miała atak i trafiła do szpitala. W sobotę przekroczył próg Klubu. W niedzielę zmarła. Na pogrzebie pomyślał: „Będę próbował nie pić”.

Przetrwał dzięki Wandzie.

– Żona mi życie uratowała. Jakby mi nie podała ręki, to nie byłoby mnie. Nie rozmawialibyśmy dzisiaj. Mogła mnie kopnąć w dupę, jak chlałem dwadzieścia lat. Klęknąłem kiedyś przed nią i powiedziałem: „Obiecuję ci, że dziś piłem ostatni raz”. Następnego dnia znowu przynieśli moje zwłoki. Powiedziała, że żyła tym zawsze, że się zmienię. I zmieniłem się. Zrobiłem jej taką krzywdę... Kocham ją mocno i staram się jej odwziewać, jak tylko potrafię.

Dziękuję jej, dziękuję Bogu, że żyję.



↑ fot. Prywatne zbiory Dzikiego



→ Trzecie urodziny, czyli trzecia rocznica abstynencji.
fot. Prywatne zbiory Dzikiego



Śpiewał od dawna, ale rzadko na poważnie. Kiedy miał 14 lat, wystąpił w ZDK-u. Jakaś zabawa. Pada pytanie, czy ktoś z publiczności chciałby się zaprezentować.

– Ja zaśpiewam! – krzyczy Wiesio. Wskazuje na scenę i do melodii Beatlesów zmyśla słowa w języku wery-kombinery. – Bo ja z angielskiego jestem kicha. Ale jak się wszystko dało! Ła! – Wyśpiewał pierwszą w swoim życiu nagrodę, pluszowego misia, który był tylko trochę mniejszy niż on. Zaplątał się w kurtynach i nie mógł zejść z powrotem na widownię. Cała ta historia trzyma się kupy. Dom Kultury stał od 1962 roku. Dziki zadebiutował dwa lata później. Piosenka „From Me To You”, którą dzisiaj śpiewa, wspominając ten popis, została wydana w '63.

Nastoletni Wiesiek chodził na bulwary nad Sołą. Siadywał tam pod drzewem i grał na gitarze starszy o kilka lat Zbigniew Cinalski, podpora być może pierwszego big-beatowego oświęcimskiego zespołu Dwa Razy Dwa. Kiedy usłyszał, jak Dziki podśpiewuje, zachęcił: „Chodź, spróbuj”.

Pojawił się Zdzisław Wójcik, z grubsza rówieśnik Cinala, muzyk pełną gębą, podobno absolwent konserwatorium, mistrz organów Hammonda, które dzisiaj brzmią retro, a pół wieku temu z okładem nadawały ton muzycznym nowinkom.

Cinalski namówił Zdziska, żeby „spróbował coś z Wieśkiem zrobić”.

Dziki miał jakieś 18 lat, gdy umówili się w ZDK-u. Na pianinie stała popielniczka, bo wtedy paliło się wszędzie.

Kluczowe kwestie miały brzmieć tak:

Dziki: Co będę śpiewał?

Wójcik, bez wahania: „Dziwny jest ten świat”.

(Znowu sprawdzam daty. Niemen zdobył za tę piosenkę nagrodę na Festiwalu w Opolu w 1967 roku. Wszystko się zgadza.)

Dziki: Chyba cię ~~popie~~. Chyba sobie żartujesz?

Wójcik: To po cośmy tu przyszli?

Dziki: Dobra. Zaczynam.

(Wiesiek śpiewa od pierwszego taktu forte, może nawet fortissimo.)

Wójcik: Nie, nie, nie. Nie pokazuj od razu, co masz w środku. Najpierw postódź...



Imiennik klawiszowca, Zdzisław Kozaczek, znany w Oświęcimiu jako konferansjer, wodzirej i dusza towarzystwa, to szkolny kolega Dzikiego. Pod koniec podstawówki uczyli się w jednej klasie. Kozaczek (poprzestaję na nazwiskach, nie z braku szacunku, ale żeby się Zdziski nie mieszały), zatem Kozaczek pamięta, że Wieśka najczęściej można było spotkać na boisku. Kaniowski chciał zostać piłkarzem.

Tej pasji zawdzięcza przewisko.

– Plac Kościuszki, kostka brukowa, kino „Przodownik” jeszcze – opowiada Wiesiek. – Miałem 12 lat. Graliśmy w piłkę. Ja byłem taki niedobry, że jak dostałem piłkę, to sam, ja sam strzelę bramkę. Egoistą byłem. Zrobiłem tak parę razy, aż kumpel mówi: „Ty francowaty dzikusie! Sam strzelasz bramki, a nam nie chcesz podać”. I tak zostało.

Drogi chłopaków się porozchodzili po siódmej klasie. Kiedy po dwóch-trzech latach Kozaczek znowu zobaczył Dzikiego, musiał niezmiennie się zdziwić.

– W sali przy Solskiego były tańce i występy – opowiada. – Jak tylko niepogoda, to wszyscy ludzie tam walili. Pierwszy raz wtedy usłyszałem Wieśka. Jakiś zespół grał, a on wyszedł na scenę i zaczął śpiewać. Wtedy wszyscy ćwiczyli tylko „Dom wschodzącego słońca”. I nic innego. Oficjalnie ludzie śpiewali bardzo inne rzeczy, takie cieplejsze.

Domyślam się, że Kozaczek ma na myśli tak zwane optymistyczne piosenki jak „Chłopiec z gitarą” albo „Takie ładne oczy”. Tymczasem Dzikiego zaszerwował „House of the Rising Sun”, przejmującą balladę, którą cały świat, także ten zamknięty za żelazną kurtyną, poznał w wersji The Animals. Nie trzeba znać tekstu, żeby się tą pieśnią wzruszyć. Okazuje się też, że nie trzeba znać słów, żeby ją zaśpiewać.

– Nie wiem, czy mu akompaniował akordeonista czy gitarzysta – ciągnie wspomnienia Kozaczek. – Ale jedno wiem na pewno: nagle Wiesiek pojechał równiuteńko angielszczyzną cały utwór. Pewnie poleciał fonetycznie. Miał już trochę tego pałeru w głosie. Pamiętam zachwyt jakiegoś muzyka, który może tego wieczoru komuś akompaniował: „Ale skur!...”. Pamiętam, że Wiesiek dostał niesamowite brawa.

Minęło kilka lat. Zabawa na plantach. Potańcówka przy muzyce na żywo.

On tam śpiewał takie mocne piosenki – wspomina Wanda Kaniowska.

– Darł się niemiłosiernie. Podszedł i spytał, czy będę z nim chodzić.

Znali się wcześniej, a tego wieczoru zostali parą. W następnym roku się pobrali.

Potem nadszedł ten długi, zmarnowany czas, kiedy Dzikiego śpiewał a cappella pod budką z piwem. Aż w końcu ktoś mu powiedział: „Zrób tak, żeby muzyka była twoim alkoholem”.

Wiesiek postanowił, że barowego zapiewając zastąpi wokalista.

Wróciły lekcje w Wójcikiem. Organista grał nie tylko na dancingach, ale też w kościele. (Starsi parafianie twierdzą, że tylko Zdzisek grał wielkanocną pieśń „Zwycięzca śmierci”, tak jak należy, to znaczy dostojnie, wzniośle i z życiem.) Ćwiczyli więc „u Maksymiliana”. Przypadkowym słuchaczem był proboszcz. Obawiali się, czy nie będzie przeciwny, ale nakrył ich na „Bielszej odcieni bieli”, a przy tej melodii miękną najsurowsze, nie tylko księżowskie serca. Nie dziwi, że próbowali „A Whiter Shade of Pale”. Przecież to najsłynniejszy motyw na ulubionym przez Wójcika Hammondzie.

Dzikiego wspomina jeszcze jedno spotkanie w 2017 roku w ZDK-u przemianowanym w międzyczasie na Oświęcimskie Centrum Kultury. Próbowali z gitarzystą, Tadekiem Liszewskim, kiedy zajrzał gość.

– Cześć, profesor!

Wzięli na tapet „Nie widzę ciebie w swych marzeniach” Skaldów.

Wiesiek wszedł wokalem zbyt mocno, więc został skarcony przez nauczyciela:

– Już pokazujesz, na co cię stać? Słodzenie... Dopiero potem jest przejście. Bach!

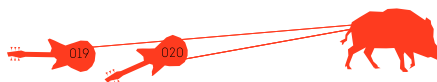
Tak że główka boli. I tak ma być! I tak śpiewaj.

– Dziękuję, panie profesorze!

/ A teraz proszę przeczytać tę wymianę zdań jeszcze raz, pamiętając, że te nauki pobierał 67-letni uczeń./

Podczas któregoś z koncertów przed OCK-iem Dzikiego wypatrzył Wójcika wśród widzów. Przedstawił go publiczności – „On mnie nauczył śpiewać!” – i zadedykował mu piosenkę. Od kilku lat starszy pan w okularkach, z ćmiącym papierosem w kąciu ust akompaniuje na organach anielskim chórom. Zdzisław Wójcik zmarł w 2018 roku.

Dzikiego zawdzięczał mu pierwsze muzyczne doświadczenia, które przydały się w „Abstynencji”, zanim za sprawą Ligi Duszy zakochał się w bluesie i zanim stał się rockandrollowcem. Członkowie Klubu utworzyli zespół Arkan. Wiesiek traktuje ten epizod z pobłażaniem dla samego siebie sprzed kilkadziesiątu lat. „Weselne piosenki graliśmy, białe misie, granice” – i nie chodzi o „Granice” Maanam, ale o nieśmiertelny szlagier z refrenem „Lecz wielka dzieli nas granica, boś ty bogatą przecież jest”.







→
fot.
Klub Promyk. 1990. Liga Dusz:
Konopek, Centnar, Dzik, Dziunia, Zeman.
Prywatne zbiory Dzikiego

W drugiej połowie lat 80. Wiesiek wciąż zwracał uwagę, ale już nie jako czołowy oświęcimski pijus, a szykowny elegancik w garniturze o włoskim kroju. Kupił go, zdaje się, w ciucholandzie, który wtedy nosił jeszcze dumną nazwę komisu odzieżowego, ale o tym wiedziały tylko znajome sprzedawczynie. Takiego Dzikiego, parującego po mieście w białym gajecie w czarne paseczki, spotkał przypadkiem u wylotu ulicy Górnickiego na plac Kościuszki Janusz Centnar, lider i gitarzysta Ligi Dusz.

Znali się, jak to często bywa, nie wiadomo skąd i od kiedy. W paru zdaniach zdążyli sobie powiedzieć, co słychać. A były to niezwykle istotne sprawy, które, jak się okazało, zaważyły na życiu każdego z nich. Najważniejsza: Dzik nie pije. Po drugie: Dzik śpiewa w Arkanie. Po trzecie: Janusz gra w zespole Liga Dusz. Wreszcie: Liga Dusz rozgląda się za wokalistą. Zwieńczeniem tej pogawędki było zaproszenie na próbę do klubu Promyk przy ulicy Bema. Dzik mawia: „Przyszedłem i zostałem na 20 lat”. Tylko trochę zaokrągli. Pamiętne spotkanie to 1989 rok. Zespół przestał istnieć w 2007.

Dołączając do zespołu, Dzik był abstynentem już od prawie trzech lat. Jednak smród alkoholu jeszcze się za nim ciągnął. Skład okrzepł i Wiesiek śpiewał już w Lidze całą gębą, gdy grali przy lodowisku na festynie na koniec lata. Muzykom wchodzącym na scenę przypatrywał się policjant. Wysoki stopień miał od czasów milicyjnych. Zamykał wtedy obywatela Kaniowskiego w areszcie albo wysyłał go do izby wytrzeźwień. Widząc Wieśka przed koncertem, spodziewał się pijackich wyskoków, więc go zatrzymał, jak na milicjanta przystało:

- Dzik, a ty gdzie?
- Dzisiaj ja tu będę śpiewał, a ty będziesz pilnował, żeby mi się nic nie stało.

„Myśm się oczywiście przestraszyli”- relacjonuje pierwszą wspólną próbę Konopek, czyli Krzysztof Konopka, ligowy harmonijkarz. Zła sława Wieśka budziła zrozumiałe obawy. Ale skoro nie pił, warto było sprawdzić, co potrafi. Ówczesny gitarzysta basowy Ligi był trochę z potrzeby chwili wokalistą. Śpiewał, jak opisuje harmonijkarz, spokojnie, bez wielkich emocji. Dzik w te same utwory włożył energię, zawijas i bojowe okrzyki. Krzysztof puentuje: „Widać było od razu, że ma osobowość sceniczną”. Przez następnych kilkanaście lat zmieniali się perkusiści i basmani, przewijali się klawiszowcy, natomiast trzon składu stanowili ci trzej: Centnar, Konopek i Dzik.

Już na samym początku zagrali koncert, który Wiesiek wspomina z rozrzewnieniem do dzisiaj: support przed Dżemem w katowickim klubie studenckim Akant. Muzycy długo gawędzili w garderobie, ale dla Dzikiego to, co najważniejsze, wydarzyło się przy kawiarnianym stoliku. Przysiadł obok jakiejs mamy z dwojgiem dzieci, Sebastianem i Karoliną. Wymienili uprzejmości, a po chwili podszedł jej mąż. Dziki znał go z telewizji.

– Riedel w kapeluszu wchodzi. Idzie mój idol!

Spotkali się później jeszcze kilka razy. Wiesiek z dumą przytacza komplement („To je to!”), który usłyszał od Ryśka. I rady młodszego, ale bardziej doświadczonego kolegi:

– Wchodzisz na scenę, masz pięć minut. Wszystko, co cię ~~wkur~~ wkurza, wyrzuc to wszystko z siebie, ten ból.

Słowa Riedla musiały go utwierdzić w tym, co robił do tej pory. Wiesiek nie ma talentu aktorskiego i w tym braku tkwi jego siła. „Dziki nie grał artysty. On nim był. Na scenie dawał z siebie sto procent” – powie po latach Janusz Centnar. Ludzie, którym nieobce są sceniczne doświadczenia, powtarzają zgodnie, jakby się umówili: Dziki, kiedy śpiewa, jest prawdziwy.



→
Internat „Chemika”, 1992.
charytatywny koncert Ligi Dusz z Piotrowskim i Kapołą.
fot. Prywatne zbiory Dzikiego

Na początku 1991 roku Liga Dusz nagrała w studiu Radia Katowice kilka piosenek pod okiem i uchem doświadczonego realizatora dźwięku Zbigniewa Maleckiego, który jako dźwiękowiec pracował między innymi nad nagraniami Dżemu, Ryszarda Skibińskiego i Krystyny Prońko. Niedługo potem grupa gościła w radiowej audycji „Moje muzyczne pasje” Bogumiła Starzyńskiego i w regionalnej katowickiej Tele3. Fragmenty tego telewizyjnego występu można zobaczyć w internecie.

Muzycy postawili sobie za cel Rawę Blues, festiwal, na który zjeżdżała bluesowa czołówka z całej Polski i który właśnie stawał się międzynarodową imprezą. Droga do katowickiego Spodka wiodła przez gęste sito. Liga wysłała demo i regulaminowe zgłoszenie i została zaproszona na rozgrzewkę 8 maja 1993 w Chorzowie. 51 kapel stanęło do rywalizacji o bilet na festiwalową scenę. Dostało go dziesięć. Na tym etapie chyba jeszcze wszyscy ci pretendenci szykowali się do występów na małej scenie, która była nagrodą za przebrnięcie eliminacji. Wymyślone przez organizatorów zasady rozgrzewki nie przewidywały bisów. Zespół z Oświęcimia bisował jako jedyny.

Rawa Blues '93, 25 września, Spodek, duża scena. Koncert otwiera Liga Dusz. Gra cztery kawałki. Jest bardzo dobrze przyjęta przez fanów bluesa i rocka. Podobno było ich tego dnia 12 tysięcy. Ta liczba jest nie do sprawdzenia. Ale niechby ich było tylko osiem. Ładne mi „tylko”... Dziki szaleje. Tego dnia na Rawie, na tej samej scenie zagrają też Dżem i Tadeusz Nalepa. Dwa utwory Ligi znalazły się w filmowej relacji z festiwalu, którą po latach późnym wieczorem pokazywała publiczna telewizja. W kolejnym roku znowu duża scena. Przypieczętowaniem występu na Rawie w '94 roku była nagroda publiczności.

Te trzy lata, '93-'94-'95, były najintensywniejsze i najbardziej owocne. Grali kilka razy w miesiącu, zdobywali nagrody na lokalnych przeglądach, supportowali Dżem i grupę IRA. Kiedy grali w Bielsku-Białej przed O.N.A. i Big Dayem, publiczność domagała się ich bisu, chociaż na scenie byli już Agnieszka Chylińska i Grzegorz Skawiński. Z tego okresu pochodzi jedyne oficjalne wydawnictwo Ligi, kasetą „Nie tylko w piekle”. Sprzedawali ją przed swoimi koncertami. Dziś jest nie do kupienia, a Dziki traktuje jej egzemplarz jak relikwię.



EGO

W delirycznym śnie
Zatraciłem własne ja
Nie umiem kochać, płakać
Ani się śmiać.

W masce obojętności
Wypala mnie mój strach
Człowiek bez przyszłości
Czy to naprawdę ja.

Zagubiony w burzy myśli
Szukam sensu dnia
Podaruj mi jedną chwilę
Jedną chwilą żyć bym chciał.

W masce obojętności
Wypala mnie mój strach
Człowiek bez przyszłości
Czy to naprawdę ja.

PRAGNĘ DOTKNĄĆ CIĘ

Pragnę dotknąć Cię
Tak mocno pragnę dotknąć Cię
Całować Twoje włosy
Całować oczy Twoje
Czy serce masz z kamienia nie wiem
Czy próżna jesteś, zła
Czy pragnę dotknąć Cię

Cóż , kiedy znikniesz zaraz gdzieś
Wraz z tobą przyniś czar
Powróćisz do swych spraw
A ja zostanę sam
I bluesa będę grał
O Tobie będę śnił
Bo chciałem Ciebie dziś

CZEMU ZNOWU RYCZYSZ MAŁA

Czemu znowu ryczysz Mała
Czego znowu chcesz
Koncert zaraz zaczniesz
Zaczniesz się
A Tyślagie ryczysz Mała
denerwujesz mnie

Poszarpane w strzępy nerwy
Szybciej bije puls
A Ty ciągle ryczysz Mała
Choć jesteśmy tu
Eric Clapton będzie czadził
Królem będzie blues

Już skończyła się zabawa
Jeszcze w uszach brzmi
Wszyscy wstają i wychodzą
I jak zwykle młyn u drzwi
Już przestałaś ryczeć Mała
Wypłakalas wszystkie try

BLUES ZIELIŃSKIEGO

Jeśli masz papierów sto
Kup gitarę walnij szkło
Dziesięć lat w piwnicy graj
Szczerom co dzień koncert daj
Pomyśl sobie będziesz sławny
Utrawany uwielbiany
Tak jak Jimi Hendrix Król

W to co robisz serce włóż
Kochaj ludzi dla nich służ
Na przeglądach często graj
I wypadnij super naj
I Socenia cię fachowcy
Z telewizji nawet z radia
Dźwięku lowry też

DAJĘ CI BLUESA

Daję Ci bluesa mała
Daję Ci życie uwieś mi
I nie bądź głupia mała
Tylko posłuchaj jak to brzmi
To mój narkotyk mała
Bo blues to życie mówię Ci

Muszę grać bluesa mała
Bym nie był dupkiem w życiu swym
Tylko pieniądze mała
To nie jest zdrowe mówię Ci
I nie narzekaj mała
Tylko posłuchaj jak to brzmi

Co to za mina mała
Przestań blaźnować mówię Ci
Wiesz dobrze o tym mała
Ze kiedy gram to dobrze mi
Spytaj naszego syna
Co to jest blues
To powie Ci

MUR

Przedemnąmur, wielki jak dom
A za nim raj, bogaty świat
Śliczne dziewczyny, gabloty cud
Szampan i wino, basen i luz
Co dzień niedziela i co dzień szum
Przedemnąmur, przedemnąmur

Mówię człowieku, wreszcie coś zrób
Był z tego świata, coś ukręcić mógł
Śliczną dziewczynę, gablotę cud
Mówię człowieku, nie stój jak słup
Czas szybko płynie, starzej się
Więc rozwal ten mur, chociażby łbem

TAK BIJE MOJE SERCE

Tak bije moje serce
Kiedy usłyszysz taki rytm
Tak bije moje serce
Kiedy koło mnie jesteś Ty
Tak bije Twoje serce
Kiedy coś do wygrania masz
Tak bije Twoje serce
Kiedy usłyszysz od niej tak

A życie jak loteria
Burzy Twoją krew
Bo życie to loteria
Trafiśz albo nie

Tak bije moje serce
Gdy w rękach dobre karty mam
Tak bije moje serce
Kiedy już muszę grać va banque
Tak bije Twoje serce
Gdy na policji minus masz
Tak bije Twoje serce
Gdy u dziewczyny stracisz twarz

NIE TYLKO W PIEKLE

Na czarnym niebie białą księżyc
Błysk noża, moment ciepła krew
Zwierzający płacz piekielne krzyki
Tę paranoję każdy zna

W grupach jak cienie stoją orły
W nieszczerych twarzach widzisz gniew
I spróbuj krzyknąć jestem wolny
Czy ust nie zamkniesz ci twój strach

Nie tylko w piekle
Masz swój stos
Nie tylko w piekle
Tracisz moc
Nie tylko w piekle
Masz swój stos
Nie tylko w piekle
Tracisz moc

Na czarnym niebie białą księżyc
Przyjęcie ekstra feta trwa
Jaki w gabinecie figur
Próbujesz zagrać o swój świat
Czy wreszcie krzykniesz jestem wolny
Czy ust nie zamkniesz ci twój strach

Nie tylko w piekle
Masz swój stos
Nie tylko w piekle
Tracisz moc
Nie tylko w piekle
Masz swój stos
Nie tylko w piekle
Tracisz moc

ROCK'N'ROLL

Nie garb się chłopczeco
Pracuj i myśł
Zetrzyj tablicę
Nie blaźnuj, milcz
Bądźność, spocznij
Na lewo patrząc
Zapnij guziki
Podciągnij pas

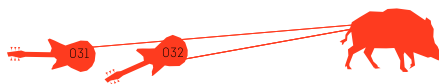
I nagle budzę się
I nagle zrywam się
Coś pulsuje
Coś drży
I nagle budzę się
I nagle zrywam się
Z płers rozłatej
Wyrwał się krzyk

Chciałbym wszystko mieć od razu
Forse, dziwnie, szybki wóz
Nie oglądać się za siebie
Żyć jak szejk, sułtan, król
Chciałbym się obżerać wszystkim
Na co tylko chcę mam
Nie oglądać się za siebie
I mieć wszystko tam

Grobowy mistrz
Otacza mnie
Znów jakiś facet
Nawija że
Wszystko się zmienia
I będzie raj
Bajera płynie
Na cały kraj

→
Liga Dusz – Nie Tylko W Piekło
Label: Kamerton – KT-007
Format: Cassette, Album
Country: Poland
Released:
Genre: Rock

Style: Blues Rock
(opis za: [discogs.com](https://www.discogs.com))



Pod koniec lat 90. Wiesiek odszedł do formacji, która grała pod szyldem Lokomotywa. Muzycy Ligi założyli wtedy nową grupę, Prom. Ten trwający prawdopodobnie kilkanaście miesięcy epizod okazał się jednak separacją, a nie rozводом. W 2002 roku posklejana na nowo Liga Dusz zagrała na czwartej edycji Tyskiego Festiwalu Muzycznego im. Ryśka Riedla. Centnar wspomina, że wtedy pierwszy raz poczuł treść, bo na Paprocinach publiczność była wymagająca. Oświęcimianie zostali przyjęci więcej niż ciepło, więc zapewne Liga wciąż świetnie czuła bluesa.

Marcin Jacobson, menedżer Dżemu powiedział o muzykach tego zespołu: „Jak zaczęliśmy ze sobą pracować, okazało się, że poza znakomitą poziomem muzycznym są pełnymi amatorami”. Myślę, że to stwierdzenie znakomicie pasuje do Ligi Dusz. Niestety, jej karierą – w przeciwieństwie do Dżemu – nie zajął się profesjonalny agent. W rozmowach o Lidze, także z ludźmi, którzy poznali jej muzykę, gdy zespołu już nie było, wraca niedosyt i rozczarowanie. Tak dobrze grała, a nie osiągnęła sukcesu. Nie wydała płyty ani nie zaistniała w ogólnopolskich mediach. Dlaczego?

Liga Dusz grała blues-rocka. To jest gatunek, w którym nie chodzi o nowatorstwo i eksperymenty. Owszem, wymaga inwencji, kreatywności i oryginalności, ale przede wszystkim dwóch rzeczy, których nie da się nauczyć ani wyćwiczyć: rockowej energii i bluesowej wyczutki, zwanej z angielska feelingiem. Chłopaki mieli we krwi jedną i drugą. A dzielili się tą energią i wyczutką prawdziwie, szczerze, prosto i od serca. Problem polega na tym, że stacje radiowe i wytwórnie płytowe jeśli już stawiają na debutantów, to wykonujących modne i topowe brzmienia. Niszowa muzyka Ligi powinna była zaistnieć w radiowej Trójce, która w latach 90. wciąż jeszcze kreowała gusta wybrednych słuchaczy. Jednak o programie tej rozgłośni decydowali gwiazdorzy muzycznego dziennikarstwa. Kto mógł mieć dostęp do ich uszu? Być może sprawny menedżer, którego Lidze zabrakło.

Kiedy zespół się rozkręcił, jego członkowie byli już mężami i ojcami. Mieli rodziny na utrzymaniu, zobowiązania i pracę. Granie nie było najważniejsze. „Czułem, że to jest dobre, ale to, co mam, mi wystarczy” – podsumowuje po latach Janusz Centnar. „Dla mnie rodzina była przede wszystkim. I praca. Oprócz tego grałem wesela” – przyznaje szczerze. „Graliśmy przesłuchanie w telewizji w Katowicach, gdzie ześmy się pokłócili z Irkiem Dudkiem, a wieczorem basista i ja mieliśmy wesela. Musieliśmy na nie dojechać”.

Chwilę później, w tej samej rozmowie lider Ligi wspomina to „przesłuchanie” nieco inaczej:

– Pojechaliśmy rano, rzecz dzieła się w telewizji w Katowicach. Ja miałem taki duży wzmacniacz Marshalla. Ale Irek Dudek powiedział, że to tu nie pasuje i „zabieraj to stąd”. Pytam go, na czym będę grał. „Tu masz wzmacniacz, wszyscy na tym grają”.

Nie zgadzam się, mówię, że mam swój sprzęt i swoje brzmienie. „Dudek, jakbym ci dał chińską harmonijkę, zagrałbyś?”. No to zwinęliśmy się i pojechaliśmy. Dlatego nie zegraliśmy trzeciej Rawy.

Czy wtedy poszło o Marshalla, czy o to, żeby dojechać na zakontraktowane weselne granie? Brakło mi okazji i odwagi, żeby Janusza o to dopytać. Ale – co gorsza – w 1996 roku Lidze Dusz zabrakło menedżera, który powiedziałby Centnarowi: „Jeśli teraz przestaniesz wydziwiać, to nie będziesz musiał już nigdy grać »Białych Misiów«”.

Kiedy gadaliśmy o ligowych czasach z Barbarą Konopką-Gruber (byłą żoną harmonijkarza), a potem z dziennikarką Moniką Pawłowską, słuchając ich, miałem przez moment wrażenie, że czytają mi w myślach. Gdyby tak Liga Dusz dała jeszcze jeden koncert!.. W Oświęcimiu nie ma odpowiedniej hali, więc to musiały być stadion Unii. Skąd wziąć na to kasę? Z biletów. Jestem przekonany, że na takie granie przyszłoby przynajmniej kilka tysięcy ludzi. W jakim składzie? Ze wszystkimi, którzy jeszcze nie zapukali do nieba bram. Jeden raz w życiu byłem na podobnym koncercie. W Jarocinie w '86 roku TSA na swoje pięciolecie przepięknie łoło na trzy gitary i dwie perkusje. Wiele lat musiałem potem czekać, żeby usłyszeć równie soczyste i pełne brzmienie. Usłyszę znowu taki dźwięk? Tym razem w Oświęcimiu? Jak będzie, panowie?

Nie byłoby Ligi bez Janusza Centnara. „Ile on poświęcił żywota, ile on sobie odmówił w życiu, żeby kupić tę ulubioną gitarę”. „Przychodzi Jasiu do domu i mówi: »Nie będzie mebli, jest wzmacniacz«”. Tak go zapamiętali znajomi. Gitarzysta, autor tekstów, główny kompozytor rządził zespołem bez skrupułów. W końcu Konopek miał dość. Podobno po piętnastu latach. Czyli wypadałoby to w 2004 roku. Panowie ścięli się na próbie tak bardzo, że już nie było odwrotu. Razem z Konopkiem z zespołu odeszli dwaj inni muzycy.

Nie byłoby Ligi bez Dzikiego. „Nie rozmawialibyśmy dzisiaj, gdyby on Ligi tak nie rozbuchał” – powiedział Centnar 13 lat po rozpadzie grupy. Przetrwiała prawie dwie dekady. Podnosiła się z rozmaitych tarapatów. Jednak w 2007 Janusz stał już jedną nogą w Anglii i wnet wyemigrował z żoną na dobre. A Wiesiek z platynową płytką w głowie leczył się po wypadku.

W lipcu 2006 roku w sortowni złomu odprysk trafił pod kask i uderzył go w czoło, centymetr, może półtora nad lewą brwią. Myślał, że ma rozwalony łuk brwiowy, że to groźnie wygląda, ale się od tego nie umiera. Pamięta jeszcze, jak w szpitalu rzucił grubym słowem, bo wydawało mu się, że za długo czeka na opatrunek. Co się działo później, odtworzył już po wszystkim, na podstawie relacji i dokumentacji medycznej.





Złamanie kości czołowej budzi podejrzenie, że możliwy jest uraz wewnątrz czaszki. Wymaga neurochirurgicznego leczenia. Dlatego Wiesiek został przewieziony do szpitala w Bielsku, tam poddany trepanacji i wprowadzony w śpiączkę farmakologiczną, która trwała 16 dni.

Przez skojarzenie z ulubioną kapelą Dzikiego, Dżemem, chirurg nazywał go Marmolada. Wiesiek tak wspomina wybudzenie ze śpiączki i z muzycznego zastój:

– Powiedział mi: „Marmolada, masz misję do spełnienia u Pana Boga”. Wyszedłem ze szpitala i myślę: jaka to misja? Po roku dzwonię i mówię: „Profesor, słuchaj, już wiem. Będę śpiewał dla chorych dzieci”.

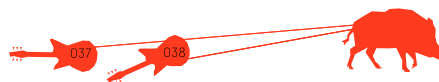
Misja, którą Dzikie poczuł po wypadku i trepanacji, a która polega na pomaganiu, nie przyszła znikąd. Nie objawiła się Wieškowi z góry ani nie olśniła dopiero co poznaną prawdą. To nie było nic nowego. Wiele razy śpiewał przecież z Ligą Dusz w szczytnym celu – i nie chodzi tylko o to, że dawali ludziom trochę radochy. Kapela grała mnóstwo koncertów dla potrzebujących pomocy.

Podczas imprezy w Międzynarodowym Domu Spotkań Młodzieży dla chorego nastolatka złoty kolczyk Dzikiego został zlicytowany za 150 tysięcy złotych. Nie popadajmy w euforię. Uczciwie trzeba powiedzieć, że działo się to przed denominacją, czyli w czasach, gdy każdy był milionerem. Niemniej kolczyk poszedł za równowartość kilograma porządnej szynki.

Charytatywny cel – zbiórka na rzecz dzieci z Domu Specjalnej Troski w Grojcu – przyświecał koncertowi, który dziś buduje muzyczną legendę Ligi Dusz. 16 grudnia 1992 roku zagrali z nią dwaj zawodowcy znani w całej Polsce: gitarzysta Grzegorz Kapołka i perkusista SBB Jerzy Piotrowski. Występ w Technikum Chemicznym zarejestrował na video Ryszard Gałgan. Dzikie rytmicznie podryguje nogą, gdy patrzy na siebie i kolegów sprzed trzydziestu lat. Obraz kiepsciutki, zwłaszcza jeśli porównać jakość do nowoczesnych technik, dźwięk jak z gumki, za to muzyka!...

Ale teraz miało być o pomaganiu. Odnajdujemy kilkanaście imprez, których ślady Dzikie skrętnie zgromadził w swoim archiwum. Dochód z koncertu w listopadzie '92 zasilił konto chorej oświęcimianki. Liga Dusz zagrała przed Nadzorem, prekursorami hardcore punka, wtedy już w uładowanej wersji. W październiku '93 roku kasa z biletów na Rockowe Zaduszki trafiła do oddziału psychiatrycznego w Międzybrodzu Żywieckim.

Miesiąc później, w listopadzie '93 roku Liga gra na Mikołajki - datki zebrane podczas występu w kościele Maksymiliana w Oświęcimiu wsparły akcję dla najuboższych dzieci. To był sprawdzony ciąg działań: koncert połączony ze zbiórką pieniędzy na paczki, które już kilka dni później frontman rozdawał maluchom.







Święty od prezentów to popisowa rola Dzikiego. Predestynuje go do niej hodowana latami broda. Brodzisko sprawia, że nie wiadomo, czy to Wiesiek przebiera się za Mikołaja, czy Mikołaj za Wieśka. Tę postugę pełni, odkąd jest bywalcem Klubu „Abstynent”, czyli przez pół życia. To jest stan na 2022 rok, w którym powstaje niniejsza książeczka. Od przyszłego roku Dzikiego będzie mógł mówić, że wciela się w Mikołaja przez ponad półżycia. Paczki rozdawał w przedszkolach i w Promyku, ale kwatery Mikołaja była w Klubie „Abstynent”. Członkowie przyprowadzali swoje dzieci i zapraszali wychowanków Domu Dziecka.

Pewnego razu (bajkowa konwencja jest na miejscu w świątecznej opowieści) zdarzyło się, że pewien niesforny chłopiec nie chciał podejść po paczkę. Dzikiego Mikołaj przyglądał się chwilę, jak dzieciak droczy się z mamą (Idź! – Nie! – No idźże! – Nie pójde!), po czym zapytał dlaczego.

– Bo jak ostatnio byłem – opowiada Wiesiek dziecięcym głosikiem – to Mikołaja pociągnąłem za brodę i mu spadła. – Tu Dzikiego wraca do swojej naturalnej chrypki. – Mówię do niego: „Chodź. Ciągnij. Dwoma rękami. Śmiało”. A chłopak na koniec mówi: „Mama, prawdziwa!”. – Swoje doświadczenia z przedszkolakami Dzikiego podsumowuje ryzykownym porównaniem. – Tak samo jest z wokalistą. On musi ruszyć publiczność.

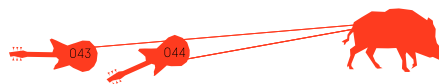
Na fali udanego występu na Rawie Blues w '93 roku Liga Duszy zagrała dla dzieci-pacjentów szpitala rehabilitacyjnego w Konstancinie-Jeziornie. Mieli być supportem, ale gwiazdy nie dojechały, więc ich koncert trwał dwie godziny.

Zanim zabrzmiały pierwsze dźwięki gitary, Dzikiego siedział między słuchaczami i nie ujawniał, kim jest. A potem śpiewał, chodząc między wózkami inwalidzkimi, przysiadając na łóżkach. Janusz Centnar kilkanaście lat później:

– Do tej pory mam ciary, że byłem w tym miejscu i w tym czasie, właśnie tam.

Mniej więcej wtedy z czterema innymi kapelami, wśród których znów był Nadzór, Liga grała na rzecz oświęcimskiego szpitala. W 2001 w amfiteatrze w Polance Wielkiej otwierała trzydniową imprezę dla chorego na białaczkę Grzegorza, a jakieś 4 lata później wystąpiła na zabawie „Tacy Sami” w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym na Zasolu.

W 2002 roku oświęcimianie leczyli traumę po brutalnym zabójstwie notariuszki. To wciąż były czasy, gdy za irokeza albo długie włosy skinheadzi spuszczały ~~wypier~~ łomot. Przemoc można było spotkać nie tylko w filmie, ale też pod blokiem. Więc młodzi zorganizowali koncert „Oświęcim przeciw przemocy”. Wstęp za darmo. Gościny udzielił w swoim lokalu Jeremi Nieśpielak. W przygotowaniach pomógł między innymi Janusz Centnar, lider Ligi. Przyjechał Krzysztof Rutkowski, o którym było głośno, bo to właśnie on dopiero co złapał w Czechach ostatniego z podejrzanych o morderstwo prawniczki. Protest, petycja, symboliczna minuta ciszy, na scenie kawiarni w Oświęcimskim Centrum Kultury zespoły Aleja i Jedyny Sensowny Wybór. A na finał wieczoru chóralny śpiew młodzieńców z detektywem, zaintonowany przez kogo? Jasne, że tak. Przez Dzikiego.



Kilka tygodni wcześniej na oświęcimskim Rynku „Nadzieja nie tonie”. Koncert dla ofiar powodzi w Austrii był raczej gestem solidarności, zwłaszcza że w 2001 właśnie Austriacy pomagali zalanym przeciszowianom. Ale ta impreza to pewnie też pokłosie osobistych kontaktów i wycieczki z 2000 roku. Liga Dusz grała wtedy dla Polonusów w Wiedniu i tyrolskim miasteczku St. Leonhard jako ambasadorka Stowarzyszenia na Rzecz Inicjatyw Kulturalnych Ziemi Oświęcimskiej. Z kolei po wielkiej wodzie, która przełała się przez Polskę wiosną 2010 roku, w charytatywnej imprezie dla powodzian zabrakło Ligi, bo już nie istniała. Niemniej w imprezę pod koniec czerwca zaangażował się Dzik. Zapowiadał, że zaśpiewa z zespołem ludowym Dworzanki (nazwa pochodzi od wsi Dwory), ale zdaje się, że nic z tego nie wyszło. Koniec końców zapowiadał rockowe kapele występujące w muszli koncertowej Technikum Chemicznego.

Ta lista dobrowolnych akcji z udziałem Ligi i jej szalonego frontmana z pewnością nie jest kompletna. Tym bardziej męczy mnie pytanie: o co chodzi w powtarzanej przez Wieśka wielokrotnie opowieści, jak to rok po wypadku odnalazł swoje powołanie? Przecież pomagał swoim śpiewaniem chorym dzieciom i w ogóle ludziom, którzy potrzebują pomocy, od dawna. Dostał w łeb tak mocno, że zapomniał, co się działo i co sam robił od dobrych kilkunastu lat?

Zapytałem – może nie dosłownie o to, czy solidnie wziął po głowie – ale o misję spytałem.

– Stwierdziłeś, że masz po co żyć?...

– A jak! Widzę, że ich przybywa, no to śpiewam dalej!

Nie wiem, czy w Oświęcimiu i okolicy w drugim dziesięcioleciu XXI wieku charytatywnych koncertów było więcej niż w pierwszym. Ale wygląda na to, że przybyło imprez z udziałem Dzikiego.

Spójrzmy na decyzję Wieśka inaczej. Potraktujmy ją nie jak posłannictwo, ale postanowienie. Po wypadku i rekonwalescencji Dzik to 57-letni chłop, który czuje się na siłach, czasem nawet rozpiera go energia, a do roboty raczej już nie wróci. Liga Dusz, która przez prawie dwie dekady wypełniała jego czas, definitywnie przeszła do historii. Wiesław Kaniowski staje przed dylematem, który czeka nas wszystkich, z wyjątkiem tych jedynie, co już go rozstrzygnęli. Dla Dzikiego w 2007 roku fundamentalna, egzystencjalna kwestia brzmi: co robić na emeryturze? Zbierać kapsle, lepić garnki czy może hodować króliki? Powiem śmiertelnie serio: myślę, że Wiesiek dokonał najlepszego możliwego wyboru.



↑ fot. Prywatne zbiory Dzikiego



Powodów do dobroczynności, niestety, nigdy nie brakuje. Kilku ludzi do działania popchnęła mukowiscydoza dwuletniego wówczas Patryka Wieczorka. Koncert w Oświęcimskim Centrum Kultury miał wyjątkowy rozmach. Po kilku miesiącach przygotowań, 9 lutego 2009 roku na jednej scenie dżemowali basista Scorpions Paweł Mąciwoda, wokalista TSA Marek Piekarczyk i jazzowy pianista Joachim Mencel. Wcześniej wystąpiło kilka zespołów z Oświęcimia i okolic. Wśród nich Marcin Boiński Band z Dzikim na wokalu.

Pomysłodawcą i szefem koncertu dla Patryka był Albert Bartosz. Los okrutnie zdrwił z niego niespełna rok później. U czteroletniego wtedy syna Bartoszków wykryto raka. Imprezy połączone ze zbiórkami pieniędzy dla Igora ruszyły już po kilku dniach. Ochotnicy spotykali się w Układzie. W pierwszej dekadzie lat dwutysięcznych Układ jako nazwa lokalu muzycznego brzmiał przewrotnie i ironicznie. Dziś mało kto w ogóle pamięta, że przy Solskiego była dyskoteka.

Popołudniami gromadziła się tam regularnie dość dziwna zbieranina ludzi z różnych środowisk i miejsc, od nastolatków po siwe głowy. Jak każdy w naszym mieście, kojarzyłem Dzikiego, natomiast właśnie na początku 2010 roku w Układzie pierwszy raz wymieniliśmy „Cześć!” i uścisk dłoni. Jakkolwiek zabrzmiało to nieprawdopodobnie, poznałem Dzikiego w dyskotecie. Prawdopodobnie większość tej ekipy łączył fakt, żeśmy w Układzie wcześniej nie bywali. To pospolite ruszenie działało nad podziw sprawnie pod szyldem Mała Orkiestra Wielkiej Pomocy. W ciągu paru miesięcy zorganizowało – chyba nie przesadzę – kilkadziesiąt imprez.

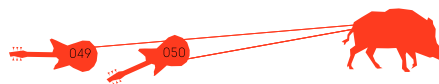
Co najmniej na kilku śpiewał Dzik: w pubie Bazyl, w Układzie, w domu ludowym w Grojcu. Załapałem wtedy, jaki ~~wyko~~ jaka moc rozpiera tego człowieka, bo, będąc blisko tamtych wydarzeń, widziałem, że jego rola nie ogranicza się do występów w różnych składach i konfiguracjach.

Dziki to jest ruchomy baner, chodząca reklama – mówi Marcin Boiński. – Jeśli w czymś jest, to po uszy. Kiedy przechodzi ulicą, to nie ma bata, żeby kogoś nie znał, kogoś nie zaczepił i z kimś nie zagadał, bo jego prawie wszyscy znają.

W Oświęcimiu i okolicy zorganizowano wtedy mnóstwo koncertów, pikników i spektakli dla Igora. Grała dla niego nie tylko Mała Orkiestra. Ale owocem działalności tej grupy zapaleńców jest działająca na ziemi oświęcimskiej fundacja. Jej nazwę zainspirowała oczywiście organizacja Jerzego Owsiaka. To dzięki niej liderzy pomocy dla syna Bartoszków mieli spore doświadczenie. Także Dzik. Przyłożył ~~reke~~ brodę do każdego z dotychczasowych trzydziestu finałów Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

Liga Dusz grała „do końca świata i jeden dzień dłużej” w OCK-u, MDSM-ie, a podczas okrągłej, dziesiątej Orkiestry – pół dnia i pół nocy w studiu Telewizji Lokalnej. Regularnie występowała w okolicznych miasteczkach, a raz podobno nawet w warszawskim Klubie Remont. W 2003 roku podczas koncertu w Kętach ktoś rzucił hasło, żeby zlicytować brodę Dzikiego. Na szczęście nikt tego wygłupu nie wziął na poważnie.

Dlatego z Wielką Orkiestrą Wiesiek jest za pan brat. Co najmniej od 2007 roku w kolejnych finałach w OCK-u zapowiadał wykonawców i podgrzewał licytacje. Nie zawsze śpiewał. Grzecznie słuchał lekarzy i oszczędzał się po wypadku, a potem po operacji płuca. Ale finały prowadził regularnie. Dopiero w dwóch pandemicznych latach wszystko stanęło na głowie. WOŚP 2021, kiedy prawie wszystko przeniosło się do internetu, był zdalny. Dzik z Tadeksem Liszewskim, podobnie jak inni muzycy, nagrali półgodzinny występ do odtworzenia „w tak smutnym dniu”, jak to bez ściemy nazwał Wiesiek. „Śmiesznie było mówić i grać dla pustej sali, ale takie czasy nastały... Zresztą to nieważne, ważny był cel!”- napisał na Facebooku. Rok później Oświęcim nie słyszał rockowych kapel. Prawdopodobnie orkiestrowy sztab uznał, że z wirusem ciągle jeszcze nie ma żartów. Za to w Chełmku w 2022 roku zagrały Stare Dziady, Krzywa Alternatywa i Dzik.





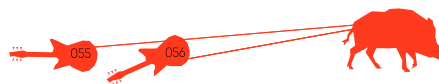
Nowo narodzony po wypadku Wiesiek przewija się na dobroczynnych imprezach w różnych konfiguracjach. Owejszyn Band & Dzikie Trio, Dzikie Squad albo krótko: Dzikie. Wymowne są nazwy charytatywnych akcji. „Gramy dla Błażejka” w Polance Wielkiej, „Kibicujemy Nadii” w Oświęcimiu, „Z sercem dla Agnieszki” w Brzeżnicy, „Wielki koncert dla Frania” w Skidzinu, „Gramy dla Janka” w Palczowicach. Ale nawet jeśli chore dziecko nie jest na pierwszym planie, cel jest oczywisty i nikogo nie dziwi, bo, niestety, chyba przywykliśmy już do wrzucania datków do puszek ze zdjęciem dziecięcej buzi. Okazją do zbierania pieniędzy może być prawie wszystko: Jarmark Bożonarodzeniowy w OCK-u, piknik organizacji pozarządowych, Dzień Kobiet w Układzie, dekoracja Medalem Miasta Oświęcim, koncert w bielskim pubie Celną 10 czy Motocyklowy Złot wspaniatych jednoślądów w Megaloparku w Szyjkach. Nie muszę dodawać, że wyszperałem „w internetach” i w dzikim archiwum, a potem spisałem tutaj wyłącznie imprezy z udziałem Dzikiego. Większość akcji, podczas których Wiesiek zagrzewał ludzi do otwierania portfeli, rozkręciła MOWP. Fundacja Bartoszków stała się w drugiej dekadzie chyba najszerzej znaną organizacją charytatywną w Oświęcimiu. Ale Dzikie działał nie tylko przy zbiórkach i piknikach. Przez kilka lat udzielał się w Stowarzyszeniu Bratnich Serc. W garniturze i bez bandany, na bankietach i parkietach przypominał sobie i współbiesiadnikom ponadczasowe, ale niezbyt bluesowe melodie.

Szczególny charakter miał koncert „Gramy dla Ryśka - Wszyscy razem” w klubie Leśniczówka w Parku Śląskim. Jego organizatorzy deklarowali: „dochód z biletów przekazujemy na cel charytatywny”. Ten złot fanów wokalisty Dżemu przerodził się w cykliczną imprezę. Koncert w 2015 roku otworzył Dzikie z przyjaciółmi, między innymi muzykami zespołu Gif-Noise.

Dzikie abstynent rozmawia z młodymi ludźmi, przekonuje, że z alkoholem nie ma żartów. Już w latach 80. prowadził pogadanki w salach katechetycznych kościoła Maksymiliana. Bo Wiesiek jest jawnym i nieanonymowym alkoholikiem. To rzadka i chwalebna postawa. Kto nie wierzy, niech się wybierze do Klubu „Abstynent” i spróbuje jego członkom zrobić zdjęcie. Świadczenia Przyjaciela Szkoły, podziękowania od wychowawców i uczniów, a także harcerzy za warsztaty – to pamiątki spotkań, na których Wiesiek nie oszczędza ani siebie, ani słuchaczy. Przechowuje je razem z dyplomami od lokalnych notabili. Niezwykle sobie ceni takie wyróżnienia. W jego kolekcji są podziękowania od Rady Osiedla Zasole, od prezydenta Janusza Chwieruta i przewodniczącego Rady Miasta (w 2005 roku) Piotra Kućki.

Dzienny Dom Pomocy w Oświęcimiu nadał Wiesławowi Kaniowskiemu tytuł Wolontariusza Roku 2013, a w 2017 – Super Seniora. W tym samym roku prezydent Chwierut przyznał Panu Dzikiemu Medal Miasta Oświęcim. Historyczny krążek leży w mieszkaniu Wieśka na poczesnym miejscu, obok kryształowej nagrody Zarządu Powiatu z 2020 roku. „Czułem się, jakbym odbierał Grammy!” – wspomina ceremonie medalista. I to jest powód, żeby postawić wszystkie te zaszczyty obok muzycznych sukcesów.

Zadziwiające jest abstrakcyjne bogactwo oficjalnych uzasadnień, które towarzyszyły tym wszystkim honorom. „Za osiągnięcia w dziedzinie twórczości artystycznej, upowszechniania i ochrony kultury”, „w uznaniu za całokształt działalności artystycznej oraz wieloletnich zasług dla krzewienia i rozwoju kultury”, „za wieloletnią współpracę i artystyczne uświetnianie imprez plenerowych dla Mieszkańców”, „w dowód uznania za wieloletnią działalność artystyczną, wolontarystyczną oraz zaangażowanie w niesienie pomocy innym”, „za godną naśladowania aktywność życiową, angażowanie się na wielu polach działalności społecznej” – kto by pomyślał, że chodzi o Dzikiego?





Obawiam się, że nigdy się nie dowiemy, ile razy Wiesiek śpiewał, żeby komuś pomóc. W ilu akcjach dla chorych dzieci uczestniczył. Ile pieniędzy zebrano na imprezach, na których wystąpił, czy to prowadząc je, czy też jako wokalista. Nie ma na to papierów. Jest za to swoiste logo, doskonale rozpoznawalny przez oświęcimian znak szczególny miejskiego folkloru, drobny, siwy rock'and'rollowiec przez wielu postrzegany jako synonim pomagania.

Najbardziej wyjątkowy koncert charytatywny z udziałem Dzikiego miał miejsce w MDSM-ie 28 lutego 2020 roku. Najniezwykleszy, bo „Dziki jest ten świat” to był koncert dla Wieśka, który wtedy zdrowiał, wracał do sił po operacji. Zagrały dla niego grupa Ultrasonic i Weronika Boińska z zespołem. Dzikie, zanim zaczął swój występ z Takiem Liszewskim, powiedział:

– Zawsze śpiewałem dla dzieci i ludzi potrzebujących. Ale nie wiedziałem, że ktoś takie coś zrobi dla mnie, że ja takie coś będę miał.

Zaczęło się od tego, że rutynowe prześwietlenie wykazało kropkę w lewym płucu. Wiesiek nie zamierzał sprawdzać, co ona oznacza. Do rozsądku przemówiła mu córka („Nie masz już kręconych włosów!”). Diagnoza po dokładniejszych badaniach brzmiała: złośliwy nowotwór. W marcu 2019 roku płąt dzikiego płuca został wycięty razem z guzem. Wyniki badań po operacji były fantastyczne: brak przerzutów. Chemioterapia nie była potrzebna, więc Dzikie nawet nie musiał sobie wyobrażać życia bez brody. Wspomina słowa lekarki – „chyba żyjesz z Tym u góry bardzo dobrze” – i swoją odruchową reakcję: „Kocham Go!”. Odrodził się trzeci raz trzy lata temu.

O kontrolnych wizytach i pogaduszkach z lekarzem Wiesiek opowiada tak:

– A kiedy la la la?

– Jeszcze nie. Chcesz się wykończyć?

Po dziewięciu miesiącach:

– Mogę spróbować?

– Tak. Możesz śpiewać.

Więc Dzikie dał głos. Najpierw tradycyjnie w Orkiestrze Owsiaaka, a potem na koncercie zorganizowanym specjalnie dla niego w MDSM-ie.

Gadamy w mieszkaniu Dzikiego. Żeby go spytać o życie, które odzyskał trzeci raz, muszę zrobić dłuższy wstęp:

– Trzy razy uniknąłeś śmierci. Pierwszy raz wywinąłeś się jej, gdy rzuciłeś picie, i wtedy na poważnie zaczęła się muzyka.

– Tak.

– Drugi raz po wypadku w pracy – wyliczam. – Gdy wyzdrowiałeś, mocniej poszedłeś w imprezy charytatywne.

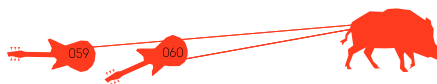
– Tak – potwierdza.

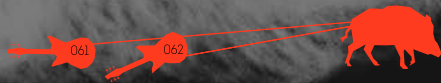
– Wychodzi na to, że wywinąłeś się po raz trzeci po operacji płuca.

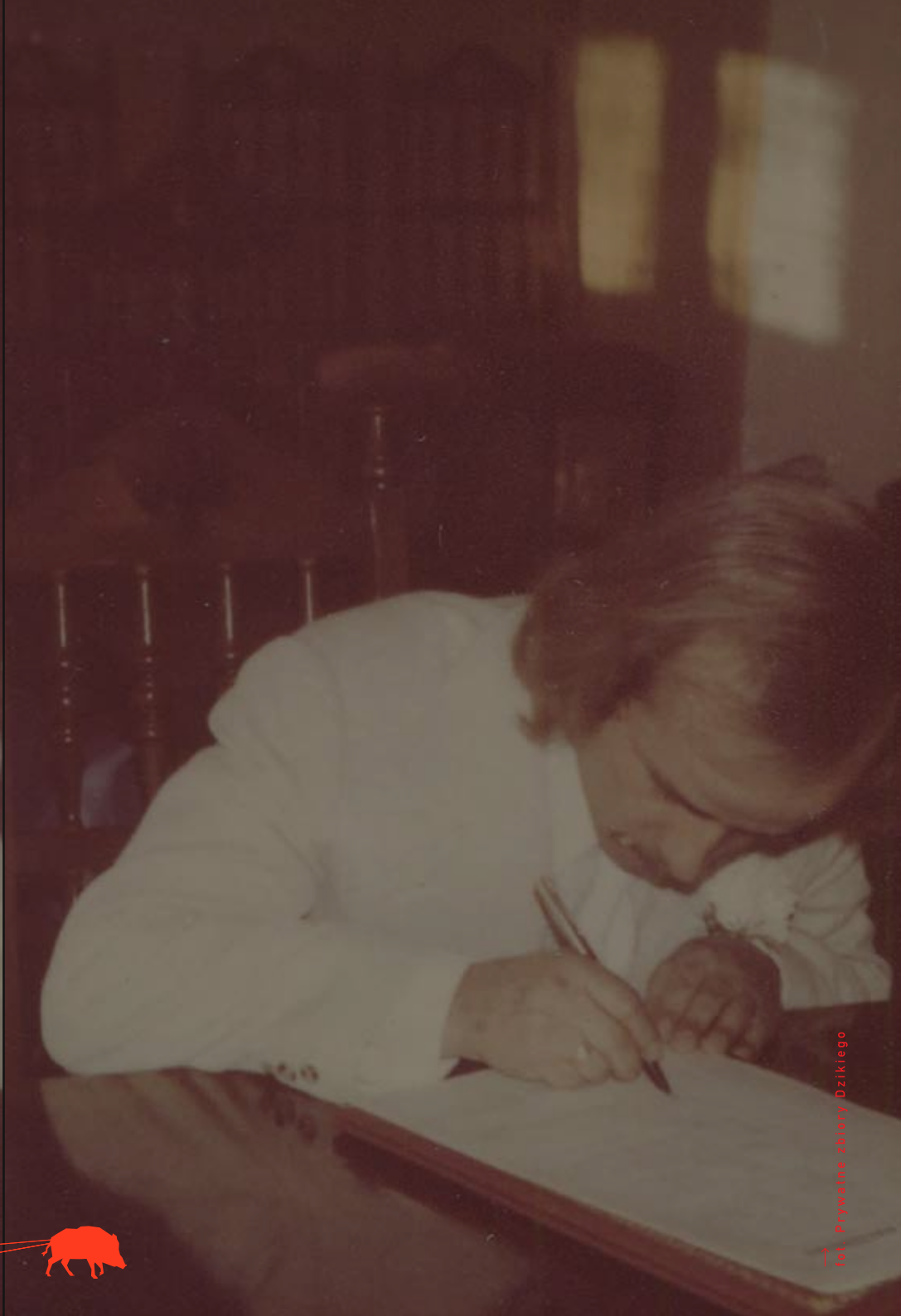
– Tak – zgadza się Dzikie.

– Jaki może być plan Tego na gorze? – pytam. – Po co On podarował ci życie trzeci raz?

– Nie wiem. Może coś ma jeszcze dla mnie. Spytam Go.









Wanda wyszła za Wiesława 5 października 1974 roku.
Poznali się kilkanaście miesięcy, może dwa lata wcześniej.

– Siedziałam z koleżanką i kolegą w kawiarence przy herbatce, oranżadce – opowiada pani Kaniowska. – A on podszedł, „ty tak i tak będziesz moja”, to były jego słowa. On mi się w ogóle nie podobał. Nie był w moim guście. Był dojrzałym mężczyzną, a ja byłam młodzieńką, na pograniczu 15 -16 lat. Dopiero jakiś rok później zaczęło coś iskrzyć.

– Siedziała w kawiarni lodowiska – do sceny sprzed pół wieku wraca też Wiesiek – z chłopcem i z dwoma koleżankami. Wchodzę z taką elitą – gdy wypowiada słowo „elita” słysząc cudzołłów – z dziesięcioma kolegami. Sami chuligani. Podszedłem, przywitałem się, popatrzyła na mnie: „Ty jesteś Dziki?”. Ja na to: „No! Kiedyś będę chodzi z tobą”, mówię do niej, „a po drugie zostaniesz moją żoną”. I tak się stało.

Myślę, że te wspomnienia ładnie się uzupełniają.

Byłem też ciekaw, jakie zdanie ma Wanda na temat dzikiego muzykowania i wielu innych spraw. Dobrze pamiętałem fragment wywiadu, którego Dziki udzielił w 2019 roku.

Pytanie: Na premierze filmu „Dziki” połączonej z twoim koncertem obecna była twoja małżonka. Nigdy wcześniej nie była na twoim występie. Jak to jest w ogóle możliwe?

Odpowiedź: Nie wiem. Nigdy nie chciała przyjść. Zawsze mi mówiła, że nie ma czasu.

Pytanie: Ile lat występujesz na scenie?

Odpowiedź: Trzydzieści trzy.

Pytanie: I przez tyle lat nie miała czasu przyjść na choćby jeden koncert swojego męża?

Odpowiedź: Nie.

Pytanie: To przecież niebywałe.

Odpowiedź: Zgadza się.

Ja też.

Tym milej byłem zaskoczony, gdy zagadnąłem Wandę o Ligę Dusz i usłyszałem:

– Wolałam być na uboczu. Wiedziałam, jak śpiewa, bo przecież w domu dużo śpiewał.

Słuchałam nagrań i podobały mi się. Zwłaszcza „Od nowa”. Kocham ten utwór.



„Co do rozmowy o tacie, to, niestety, muszę odmówić. Nigdy w takich rzeczach nie uczestniczyłam i wołałabym, żeby tak zostało”. Przyjąłem to życzenie córki Wieśka do wiadomości bez szemrania. Nie pogadaliśmy o Dzikim, ale to nie szkodzi. Bo kilka tygodni później dostałem od Sylwii Kaniowskiej wiadomość.

Nie wiem, kiedy i w jakich okolicznościach dowiedziałam się, że tata był alkoholikiem. Po prostu odkąd pamiętam, wiedziałam o tym. U nas w domu zawsze o wszystkim otwarcie się rozmawiało, może stąd wiedziałam o tym tak po prostu. Ja na szczęście nie doświadczyłam na własnej skórze tego wszystkiego, co działo się w czasie, kiedy tata pił, bo urodziłam się, gdy już od kilku lat żył w trzeźwości. Nieraz opowiadał różne zakrapiane alkoholem historie, ale były to „zabawne” opowieści, bo i takie się zdarzały. Trzeba przyznać, że tata jak nikt inny potrafi opowiadać historie, przy których ciężko powstrzymać się od śmiechu.

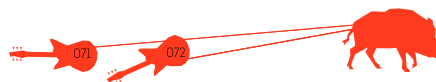
O tej ciemniejszej stronie jego nałogu mówił mniej, więcej dowiedziałam się od mamy. To są sprawy między nimi, ja nie chcę w to się zagłębiać. Wiem, że nie mają sobie niczego za złe. Już tyle lat żyją ze sobą i tata dobrze wie, zresztą często to podkreśla, że mamie zawdzięcza dużo. Jak dla mnie powinien iść na pielgrzymkę do Częstochowy na kolana za to, że trwała tyle lat u jego boku i dalej jest z nim.

Na pewno na wielki szacunek zasługuje fakt, że udaje mu się już od tylu lat być trzeźwym. Wydaje mi się, że to nie lada wyczyn, bo sama walka z uzależnieniem jest cholernie trudna, a patrząc na to, jak wszechobecny był i dalej w sumie jest alkohol, jest to podwójny wysiłek. U znajomych, na imprezach, na koncertach, w pubach itp. Wszędzie był alkohol. Generalnie to, czego sobie odmawiał, było zarazem na wyciągnięcie ręki. Wszędzie, gdzie się nie obrócił, były jakieś wysokoprocentowe trunki, a on nie uległ pokusie.

Dodatkowo wielu jego znajomych, a znajdują się i nieznajomi, którzy też, jak on, walczą z nałogiem, zwraca się do niego o pomoc. Tata się od nich nigdy nie odsunął, bo wygrał swoją walkę. Wręcz przeciwnie, namawia, żeby i te osoby stanęły do walki ze swoimi słabościami. Jeśli tylko może, to pomaga, wspiera innych. Wiadomo, nie ma na to złotego środka, ale tata jest żywym przykładem tego, że jak się chce, to można. I dlatego jestem z niego dumna.

Co do muzycznego aspektu życia taty mogę powiedzieć, że miałam dwa „etapy” z tym związane. Za dzieciaka fakt, że tata śpiewa w zespole, był mi trochę obojętny. „Coś tam sobie pogrywa”, tak sobie myślałam. Znałam tylko dwa utwory: „Czemu znowu ryczysz, Mała?” i „Daję Ci bluesa”. Bardzo je lubiłam, bo zawsze wołałam tatę w żywszych kawałkach. I tyle. To wtedy nie była moja bajka.

Pamiętam nawet, to chyba były czasy podstawówki, jak tata grał koncert z Ligą Dusz w OCK-u. Zadeedykował mi piosenkę i kazał mi wstać, pokazać się na widowni, a ja zawstydzona poprosiłam kuzynkę siedzącą obok, żeby wstała za mnie. Patrząc z perspektywy czasu, jak kultowa była Liga Dusz, to mogę powiedzieć, że dobrze, że chociaż dwa razy miałam okazję ich posłuchać na żywo: na wspomnianym koncercie i na którejś edycji WOŚP, gdy grali w nieistniejącej już telewizji lokalnej Dami.





LAPTON
HONEYMAN

073

074

Dopiero kiedy już trochę podrosłam, zaczął się mój drugi „etap”. Stałam się tatą fanką.

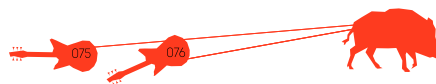
Jego muzyka bardziej zaczęła do mnie trafiać. Wolałam już inne piosenki: „Odloty” czy „Ptaki”. Możliwe, że musiałam dojrzeć do niektórych rzeczy. Myślę, że zbiegło się to z czasem, kiedy zaczęłam tacie prowadzić media społecznościowe, kiedy zaczęłam więcej uczestniczyć w jego koncertach, udostępniałam jego muzykę na YouTube, pojawiałam się z nim na różnych wydarzeniach.

Uderzyła mnie ogromna popularność taty, z której chyba nie do końca zdawałam sobie sprawę. To nie był lokalny grajek, tylko człowiek, którego znają w różnych zakątkach Polski. Idąc z nim na spacer, nie dało się spokojnie porozmawiać, bo co chwila ktoś go zaczepiał, chciał pogadać. Tacie to daje wiele radości, bo zawsze dobrze czuje się wśród ludzi. Dla niego nie ma znaczenia, czy rozmawia z nastolatkiem czy z seniorem, czy z jakimś urzędnikiem, czy osobą bezdomną. Każdego szanuje, dla każdego znajdzie chwilę, żeby zamienić kilka słów. Nic nie ma znaczenia poza interakcją z ludźmi, zupełnie jak na scenie. Ja się zawsze śmieję, że jaka by nie była scena, to dla niego będzie za mała. Zawsze jest go wszędzie pełno, schodzi do publiczności, przechadza się między ludźmi i z nimi wspólnie śpiewa.

Dlatego tak ciężki był dla niego czas, kiedy odebrano mu możliwość robienia tego, co kocha. Po operacji usunięcia nowotworu zagrożona była jego dalsza przygoda z muzyką. Pamiętam, jak podpytywał mnie, mamę czy lekarzy, czy będzie mógł jeszcze śpiewać.

Jak z łezką w oku oglądał razem z nami stare nagrania Ligi Dusz i pytał, czy kiedyś będzie mu dane zaśpiewać. I na szczęście było i jest mu dane. W 2020 roku na wydarzeniu zorganizowanym dla taty w MDSM-ie w Oświęcimiu tata zaśpiewał po raz pierwszy po rocznej przerwie. To wtedy ja i mama (tym bardziej to była wyjątkowa chwila, bo mama w końcu wybrała się na tatę koncert) zalałyśmy się łzami, jak tata zaśpiewał „Odloty”. Dlatego już zawsze będę mieć do tej piosenki ogromny sentyment.

Dla wielu ludzi Wiesiek Kaniowski to Dziki. Wytatuowany, brodaty wokalista z Oświęcimia kojarzony z Ligą Dusz albo coverami Dżemu. Człowiek z poczuciem humoru i otwartością na ludzi. Dla mnie Wiesiek Kaniowski to tata. Kochający tata. Wyjątkowa osoba w tym zwariowanym świecie.





Próbowałem zweryfikować kilka niesprawdzonych opowieści, plotek i legend, dla których pożywką jest bujna biografia Dzikiego. Niektóre żyją wciąż dlatego, że Wiesiek nie przeszkadza im krążyć. Wywiad dla nieistniejącego już, internetowego Radia Oświęcim: Czy to prawda, że po śmierci Riedla był brany pod uwagę jako nowy wokalista Dżemu? Odpowiedź Dzikiego: „Nie wypowiadam się”. Sporo domysłów i spekulacji da się jednak zbadać wykrywaczem prawdy. Podobno Wiesiek zapuścił brodę, gdy przestał pić, i nie obetnie jej, chyba że znowu zacznie.

– Nie, nie, nie. To jest ~~pier~~ pitolenie takie – prostuje Dzikie. – Była taka fama, że jak zgolę brodę, to zacznę pić.

– Fama, czyli bujda? – dopytuję.

– Graliśmy koncert, tam nad piekarnią – opowiada.

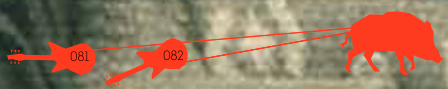
– W sali koncertowej na Solskiego? – upewniam się.

– Tak. Zaśpiewałem. Poszedłem do fryzjera. I nie było brody. Wracam do chłopaków.

„Co to? O ja pitolę! Dzikie się ogolił! Niech go strzeli!...”



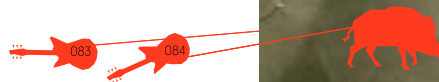
→ Przy mikrofonie: Wiesław „Oswojony” Kaniowski.
fot. Prywatne zbiory Dzikiego

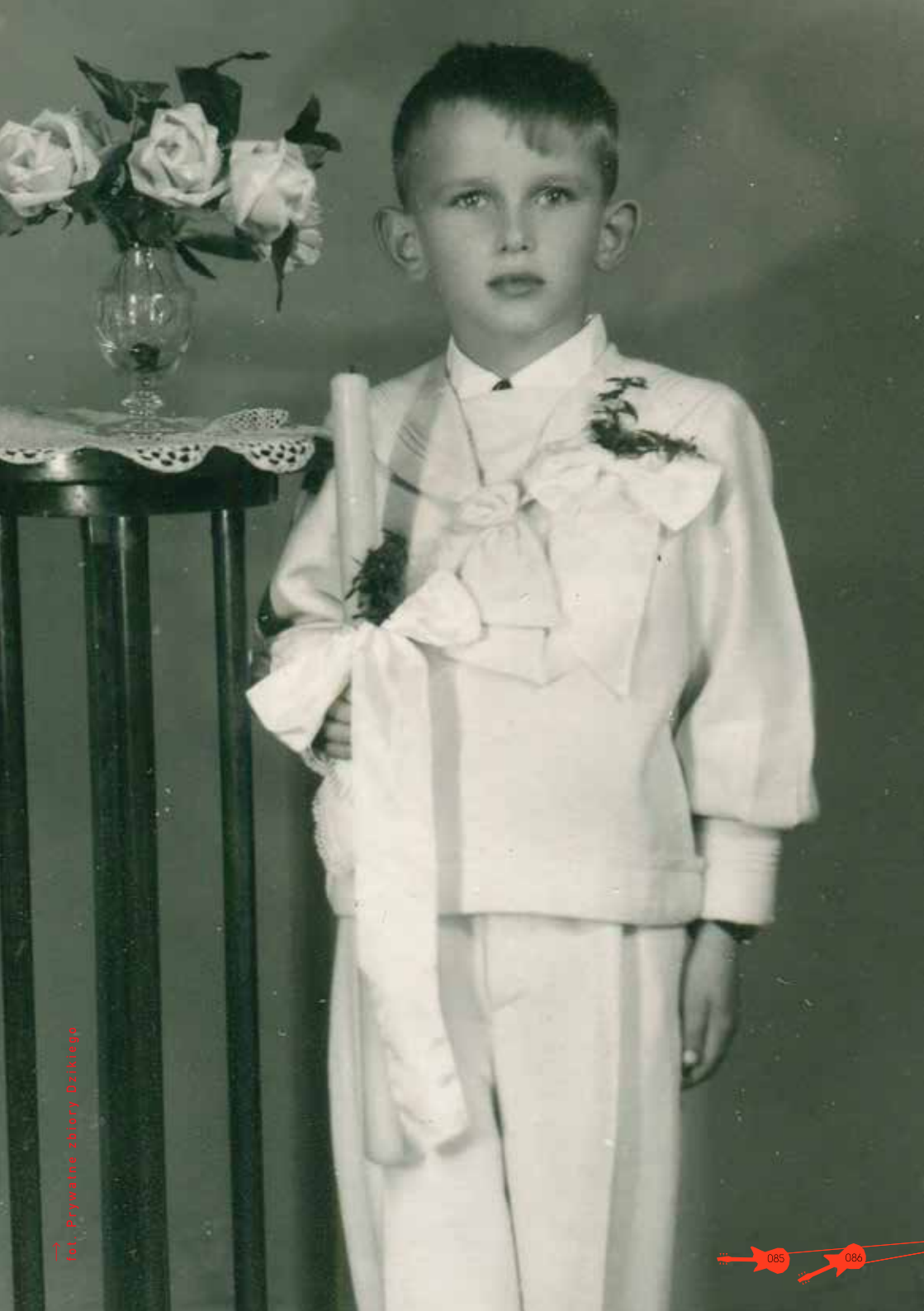


Kiedy zaczynałem spisywać tę książeczkę, zasłyszałem z pozoru głupie pytanie, które wyraźnie rozbawiło oboje państwa Kaniowskich. Czy Dziki urodził się z brodą? Zakładając, że Wiesiek może polegać tylko na rodzinnych przekazach – bo przecież nie pamięta, w jakich okolicznościach przyszedł na świat – sięgnijmy do archiwaliów.

Rodzice. Eleganccy („Tatę miałem gościówkę, nie?”), wystrojeni do zdjęcia wykonanego w zakładzie fotograficznym przy Sienkiewicza. Mieszkali piętro wyżej, w tej samej kamienicy, więc nawet nie musieli wyjść na ulicę, żeby stanąć przed obiektywem – mama w szykownych mokasynach, ojciec w butach na słoninie. Wiesio w centrum kadru. Wygląda na około dwa lata. Urodził się 13 sierpnia 1950 roku, więc zdjęcie zrobiono najpewniej w ’52. Nikt przy zdrowych zmysłach nie pomyśli na serio, że dzieciak został na tę okazję ogolony. Ustaliliśmy zatem ponad wszelką wątpliwość, że Dziki nie urodził się z brodą.

Nie miał jej jeszcze co najmniej przez kolejnych sześć lat. Świadczy o tym fotografia ośmioletniego Wiesia. Odnotujmy przy okazji potarganą blond czuprynkę, która przeszła do historii niespełna trzy dekady później.





Komunijne zdjęcie powstało u znanego już fotografa („taka starsza pani zawsze robiła”). Z tych zamierzchłych czasów, kiedy Wiesio jeszcze nie był Dzikim, Dzikie ma wcale bogate wspomnienia. Pierwszą komunię przyjął w kościele parafialnym w Mieście, a na przyjęcie poszedł ze wszystkimi dziećmi do siostr serafitek.

– Jadłem ciastko i spadło mi na spodnie. Ale mama przetarła je lekko i powiedziała, żeby się nie denerwował. Siostra przyniosła trochę wody, ale plamka została. Ponieważ nie widać jej na fotografii, Dzikie podsumowuje z dumą
– Ładnym chłopczykiem byłem.

W rozmowach z Wieśkiem echo tego zdania powraca w niepokojącej wersji:

– Niegrzecznym chłopczykiem byłem. Bardzo niegrzecznym. Chuliganem, można powiedzieć.

Kłopoty zaczęły się już na początku szkoły. Bluznął z niewyparzonej buzi. Wszyscy słyszeli.

– Pani myślała, że ja o niej powiedziałem, no i zostawiła mnie w pierwszej klasie.

Chodzi o pierwszą klasę szkoły podstawowej. Nie o zawodówkę. Nie pomyliłem się. Wiesiek został usadzony na drugi rok w pierwszej klasie podstawówki. Dzisiaj nie do pomyślenia. Myślę, że ośmiolatkowi, temu rozczochranemu blondaskowi ze zdjęcia, stała się krzywda bez względu na to, jak wielkie były jego przewiny. I nie ma znaczenia, kogo lekkomyślnie i niepotrzebnie obsmarował grubym słowem.

Gagatek, nicpoń i chuligan – był przez kolegów lubiany. W szóstej klasie poznał go Zdzisław Kozacek. Wybrali później różne szkoły, a ich znajomość się rozluźniła, ale Dzikie dał się Zdziskowi zapamiętać:

– Łobuzów było w pierony, grandziarzy takich, że hej. Pewno, że Wiesiek dawał ognia, w pióra na swój sposób. I przy tym wszystkim jestem pewien, że większość - jego, takiego... waryjata - akceptowała. Myśmy go lubili!

Z podwórka, ale i z zawodówki przy OZNS-ach zna go Stanisław Maciąga.

– Wychowywaliśmy się razem – powiedział mi pan Staszek w swojej rozgrzanej taksówce w południe lipcowego dnia. – Z biednej rodziny, ja i on. Ja mieszkalem na Berka Joselewicza, Wiesiek na Sienkiewicza. Był dobry człowiek i do tej pory jest. Bardzo uczciwy. Wspaniały człowiek. Lubił życie i ciągle jest taki, radosny. Spotykamy się do dzisiaj i lubimy się bardzo. Ja bym poszedł za nim wszędzie.

*Pijany był ten świat, pijane były sny,
ohydny każdy krok, obłudne ich spojrzenia
i wszystkie dzwony śmierci, ohydnych zwierząt rój,
i rozpieprzony krzyk, bliski czas omdlenia.*

Refren utworu pod tytułem „Dziki” to zapis zmarnowanych lat, którego słowa Wiesiek przyjął za swoje. Nie śpiewa dziś tej piosenki, ale często recytuje jej tekst. Napisał go Janusz Centnar, autor lwiej części repertuaru Ligi Dusz. Kiedy myślę o zagmatwanej i pokręconej więzi, jaka łączyła lidera i frontmana tej kapeli, przypominam sobie pierwszą rozmowę z Dzikim o tej książeczce i o tym, co według niego powinno się w niej znaleźć. Zapytał, czy mam numer do „najważniejszego człowieka”. Nie byłem pewien, o kogo mu chodzi. „Masz kontakt z Centnarem?” – wyjaśnił.

Można wytykać niezbyt wyszukaną formę tekstów Ligi. Można grymasić, że są dosadne, jednoznaczne, nie dość subtelne i zniuansowane. Ale one nie były adresowane do koneserów. W pierwszym rzędzie miały trafić to tego, kto włoży w nie własne emocje na scenie. Miały go ująć, złapać za gardło – tylko na chwilę, żeby mógł złapać oddech i zaśpiewać, czując i wierząc, że to są jego słowa. Janusz potrafił je dla Dzikiego napisać.

Wiesiek nie śpiewa już piosenki „Dziki”. Ale gdy mówi jej tekst, wydaje mi się, że wiem, skąd bierze się żarliwość i pasja w jego głosie. Przypuszczam, że Dzikie nie zna słów, które opisałyby lepiej to, co działo się z nim, zanim otrzeźwiał.

*Boże, dopomóż mi, bo ja już nie mam sił.
Ześlij dziś chmurę największą,
żeby znów polały się moje łzy,
łzy, które płyną z serca mego.
Boże, dopomóż mi wytrwać, być.
Rozpętaj siłę, bym kochał, dawał.
I jeszcze tylko za siebie popatrzę,
czy zostawiłem to bagno na zawsze.*

Mikołaj zawsze jest w cenie. Nawet wtedy, gdy dzieci orientują się, że zabawki z Laponii przywożą rodzice. Na początku aktorskiej przygody z rolą świętego od prezentów Dziki występował w pożyczonym od kumpla kostiumie. Wyglądał w nim jak prawdziwy biskup. Używał go od kilku lat, kiedy trafił w ciucholandzie unikat. Tym razem nie była to koszulka z logiem rockowego zespołu, a kompletny czerwony strój ze wszystkimi przydatnymi akcesoriami, za całe 40 złotych. Gdy zbliża się 6 grudnia, Wiesiek chowa tatuaże pod szalikiem i, jeśli trzeba, w rękawiczkach. Na wydżarane uszy naciąga czapkę.

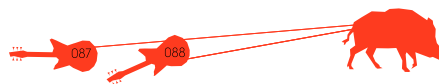
– Jestem tak zabezpieczony, że nic nie zobaczą – cieszy się jak dziecko.

Dziki był etatowym Mikołajem dla dzieci członków Klubu „Abstynent” i wychowanków Domu Dziecka. Jednak na zdjęciu na następnej stronie nie przypadkiem są prawie wyłącznie dorośli. Gdyby nie niemowlę, które trzyma Mikołaj, trudno byłoby się domyślić, co to za okazja. Ta fotografia jest pamiątką jednej z wielu świątecznych zabaw dla najmłodszych, jakie wspólnie zorganizowali niepijący i Git-Corowcy.

Git-Core to, śmiem twierdzić, najbardziej charakterna ekipa, jaką widział Oświęcim. Przewinęto się przez nią co najmniej kilkadziesiąt osób. Gdy zaczynali, byli ledwo pełnoletni. Pod koniec lat 80. i w pierwszej połowie 90. ożywili nasze miasteczko serią koncertów. Niszowe kapele z różnych zakątków świata grały najpierw w „kukiełkach” w ZDK-u, potem w sali przy Solkiego, a w końcu, gdy Git-Corowcy sformalizowali działalność, powoławszy Stowarzyszenie Młodzieży Alternatywnej, w Niezależnym Centrum Kultury utworzonym w dawnym kinie „Przodownik”. Na punkowy łomot, metalowe łojenie i reggae-bujanie młodzi ludzie z całej południowej Polski walili drzwiami i oknami.

W bliską komitwę z Git-Corowcami wszedł Dzikie. Był od nich dwa razy starszy, ale przecież zawsze łatwo się dogadywał z młodzieńkami. Na koncertach było widać gołym okiem, że w Dzikim nie ma ani krzty mentora. On zwyczajnie był w tej załodze. Słyszałem niewiarygodną historię, jakoby Wiesiek z kolegami ze Starego Miasta ochraniał któryś gig przy Solkiego. Znając punkową ekipę, trudno w to uwierzyć, bo byli szeroko znani z tego, że nikt im nie podskoczył, więc sami dbali o porządek. Ale też trzeba przyznać, że Dzikie i jego kumple samym swoim wyglądem mogli wzbudzać respekt.

Wydawałoby się, że te dwa środowiska – abstynentów i oświęcimskiej krnąbrnej młodzieży – oddzielały od siebie gusta muzyczne, wiek, a może i przekonania. Tymczasem zrobili razem sporo charytatywnych imprez. Nadzór i Liga Dusz występowały na jednej scenie (o co było tym łatwiej, że przynajmniej jeden muzyk grał w obu kapelach), a Dzikemu zdarzało się dżemować z młodszymi kolegami. Do dzisiaj mówi o ekipie Szyny, Motóra i Picka „młodzi gniewni”, chociaż chłopaki są po pięćdziesiątce i dawno już złagodnieli. Ale Dzikemu wolno.



→
Dziś u Git-Corowców w Niezależnym Centrum Kultury
(dawnym kinie „Przodownik”), pocz. lat 90.
fot. Mariusz Momot



Pierwsza Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy ominęła Oświęcim. W 1993 roku nie było w naszym miasteczku serduszek, zbierek, puszek ani koncertu. Dlatego Dzik – on sam tak twierdzi – brał udział we wszystkich finałach, poczynając od drugiego. Ten wywód trzyma się kupy. Pozornie. Pora na kolejne w tej książeczce dementi: nieprawdą jest, jakoby Wiesław Kaniowski nie uczestniczył w inauguracyjnej odsłonie akcji Owsiaaka. Wprawdzie nie było w niej Oświęcimia, ale Liga Dusz z Dzikim na woku jak najbardziej.

Ziarno niepewności zasiał Janusz Centnar, stwierdzając po latach: „Ani jednej imprezy Owsiaaka żeśmy nie ominęli. Podczas pierwszej myśmy grali gdzieś... chyba w Kętach”. Wątpliwości rozwiewa artykuł zamieszczony w czasopiśmie „Kęczanin” na początku 1993 roku, podpisany Organizatorzy i młodzież zbierająca. Opisuje improwizowaną, trwającą kilka dni akcję pod szyldem Wielkiej Orkiestry. Fragment:

Nasza zbiórka zbiegła się – i to chyba dobrze – z koncertem zorganizowanym w Domu Kultury na ten sam cel. Wystąpiły zespoły: Inside z Oświęcimia, Karabin Saszki z Czechowic i na zakończenie zagrała coraz lepiej zapowiadająca się kapela bluesowa Liga Dusz z Kęt ze znakomitym wokalistą Wiesławem Kaniowskim, zwanym przez swych licznych fanów „Dzikim”. Ostatnio zespół ten zagrał również kilka koncertów dla dzieci chorych i specjalnej troski, a kilka dni temu mieliśmy okazję posłuchać go na koncercie z zespołem „Dżem”, który odbył się w Tychach.

Przemilczmy litościwie „kapelę z Kęt”. Bądźmy wdzięczni „Organizatorom i młodzieży zbierającej” za przytoczony akapit, który jest twardym dowodem, że Liga Dusz uczestniczyła w premierowym finale. Amicus Dzikus, sed magis amica veritas. Przykro to stwierdzić, ale Wiesiek mija się z prawdą, gdy mówi, że partycypował we wszystkich wydaniach „Oj, będzie się działo”, poczynając od drugiego. Dzik gra w Orkiestrze od samego początku.

50 milionów dla dzieciaków

Nie wiedzieli bowiem, czy mogą wydać nam zezwolenie, czy też nie. W tym celu dzwonił do Urzędu Wojewódzkiego w Bielsku-Białej, a tamci do ministerstwa do Warszawy. Kiedy przysłała odpowiedź, że żadnego zezwolenia nie trzeba, po 1 godzinym czekaniu zostaliśmy odpowieni z kwitkiem. Na pocieszenie powiedziano nam, że gdybyśmy mieli jakieś kłopoty ze Strażą Miejską bądź policją, to mamy powołać się na nich. Mimo niepowodzenia postanowiliśmy przeprowadzić akcję. Mieliśmy wówczas tylko dokument od dyrektora TME w Kętach, którego treść wskazywała, że szkoła bierze niejako odpowiedzialność za tę zbiórkę. Wieczorem rozwiesiliśmy plakaty i dzięki dyrektorowi Stanisławowi Łękaiewi mogliśmy rozpocząć akcję.

We środę rano, pełni optymizmu, rozpoczęliśmy zbierać w ZML-u i ZAM-ie. Chwała władzom zakładowym za to, że pozwoliły nam wejść na teren zakładów i zbierać pieniądze. I tak pomału do południa zebraliśmy około 8 mln zł. Po południu zbieraliśmy w mieście, na dworcu, a wieczorem w kościołach - w sumie 12 mln. Wieczorem i znowu dzięki dyrektorowi TME i kilku innym pracownikom tej szkoły mogliśmy podliczyć „dochód”. Efekty przeszły nasze wszelkie oczekiwania, bo to był chyba cud - okazało się, że mamy już 22 mln złotych + złoty pierścionek + łańcuszek z krzyżykiem.

W czwartek obiskoczyliśmy m.in.: Spółdzielnię i-Maja, „Kentex”, oraz mniejsze firmy. W ten dzień zebraliśmy 9,5 mln zł. To, co wtedy znajdowało się w panciernej kasie w Technikum było dowodem, że Kęczanie mają serca nie z kamienia i popierają całkowicie tę, jakże szlachetną, akcję. Na tym nie chcieliśmy poprzestać, gdyż w sobotę w Domu Kultury miał się odbyć wernisaż. Pomyśleliśmy, że ludzie w nim uczestniczący też mogą przyłożyć się do zbiórki. Niestety już na samym początku spotkało nas rozczarowanie. „Pewna pani” zatrzymała nas w holu Domu Kultury i powiedziała, że nie możemy zbierać tu pieniędzy na dzieci z wrodzonymi wadami serca, bo zakłócalibyśmy porządek tej - jak to określiła - „wniośnej imprezy”. Mimo to stanęliśmy w przedlonku z oznakowaną skarbanką i... znowu szok - jedna z kobiet spytała „na co sprzedajemy bilety?”. Wówczas mieliśmy już dość, jednak kierując się rozsądkiem, zostaliśmy do końca imprezy. Podczas wernisażu zebraliśmy mimo wszystko 1 mil zł. Kiedy chłopcy donieśli nam pieniądze zebrane w niedzielę na Podlesiu - 5 mln zł - podliczyliśmy wszystko. Podczas 3 dni zebraliśmy 37,5 mln złotych, złoty pierścionek, łańcuszek z krzyżykiem.

Tydzień później - dzięki ZML-owi - zawieźliśmy wszystko do Warszawy, gdzie całość odebrała Agata Młynarska.

Pozostał nam jednak przewin niedotyt. Chcieliśmy uratować chociaż jedno dziecko, a tymczasem trochę brakowało - jedna operacja kosztuje 40 mln. Były jeszcze w Kętach instytucje, w których nie zbieraliśmy i dlatego postanowiliśmy jeszcze kilka godzin poświęcić na akcję W.O.S.P. Nasza zbiórka zbiegła się - i to chyba dobrze - z koncertem zorganizowanym w Domu Kultury na ten sam cel. Wystąpiły zespoły: INSIDE z

Oświęcimia, KARABIN SASZKI z Czechowic i na zakończenie zagrała coraz lepiej zapowiadająca się kapela bluesowa LIGA DUSZ z Kęt ze znakomitym wokalistą Wiesławem Kaniowskim zwanym przez swych licznych fanów „Dzikim”. Ostatnio zespół ten zagrał również kilka koncertów dla dzieci chorych i specjalnej troski, a kilka dni temu mieliśmy okazję posłuchać go na koncercie z zespołem „Dżem”, który odbył się w Tychach.

Dzięki „Kęczaninowi” - gazecie kęckiej, a przede wszystkim Jackowi Furtakowi, Agnieszce i Oskarowi Strutyńskim, Tadeuszowi Piesze Maćkowi Hejnowicz i innym naszej zbiórki i koncert odbył się.

W ramach koncertu zebraliśmy 12,5 mln złotych, trochę sebniej biżuterii. I tym razem dzięki pani dyrektor Domu Kultury i „Kęczaninowi” zawieźliśmy do Warszawy i oddaliśmy Jurkowi Owsiakowski.

W sumie, mimo przeszkód i żenujących sytuacji stwierdzamy, że akcja Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy w Kętach udala się w 100%. Efekt - 50 mln zł i biżuteria. Mamy nadzieję, że

wszyscy z nami i Jurkiem Owsiakiem będziecie dążyć, aby więcej dzieci skorzystało z szansy jaką Wy im dajecie dzięki Waszym datkom. Oby Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy w Waszych sercach cały czas „grała”. Postanowiliśmy również za rok, 3 stycznia 1994 (kiedy będzie następny wielki finał) zorganizować akcję, i sądzimy, że wszyscy Kęczanie w jeszcze większym stopniu będą wówczas z nami.

Dziękujemy jeszcze raz: „Kęczaninowi”, zespołom - „Liga Dusz”, „Karabin Saszki”, „Inside”, firmom - „Welt”, „Fregata”, „Hortex”, Bielskiemu Zakładowi Papierniczemu Oddz. Kęty i wszystkim Kęczanom, którzy przyczynili się do tej akcji.

Dziękujemy. Sie na!
Organizatorzy i młodzież zbierająca.

W trakcie zbiórki podszedł do nas ojciec z dzieckiem mówiąc, że za dwa dni odwodzi synka na operację serca. Być może uratowaliście życie młodemu Kęczaninowi.



Podczas emisji telewizyjnej Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy (3 stycznia 1993 r.) wpadliśmy na pomysł:

„Zorganizujmy Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy w naszej „dziurze”, może w końcu w tych naszych nudnych Kętach coś się „ruszy”, bo na razie jest tutaj tak nudno, że pozostaje tylko śnić i płakać...”

Następnego dnia poszliśmy do Burmistrza Kęt pogodzić na poparcie naszej inicjatywy.

Worek był dnem, w którym miało się wszystko rozstrzygnąć - czy będzie zbiórka, czy też nie. Na umówione spotkanie z Burmistrzem przybyliśmy, jednak był zajęty i nas nie przyjął. Sekretarka przekazała nam, że tak do końca to wszystko nie jest wiadomo.

Powiedzieć „cel do osiągnięcia” to zbyt mało. Ale „marzenie” to chyba zbyt wielkie słowo. Myśląc o Rawie Blues, Dzik mógł nucić „muszę mieć, muszę ją mieć”. Muzyczny obiekt pożądania. Festiwal w Katowicach był w zasięgu i Liga Dusz wykorzystała szansę. Zagrała dwa razy na dużej scenie Spodka, a do tego w 1994 roku zdobyła nagrodę publiczności. Niech nikogo nie zmyli kronikarski zapis na oficjalnej stronie internetowej Rawy, jakoby „uznanie publiczności zdobyła tyska grupa Liga Dusz”. Liga Dusz była tylko jedna, z Oświęcimia.

Wśród plakatów, dyplomów i identyfikatorów, które zdobiją pokój Wieśka, dwie pamiątki są specjalnie wyeksponowane. Na kolorowych zdjęciach w drewnianych ramach zapomniany dziś fotograf uwiecznił moment chwały. Dzik chudzielec z nagim torsem sięga przez oddzielające publiczność od sceny barierki, za którymi kłębi się las rąk. Z tego obrazu bije energia, której nie jest w stanie ugasić nawet zblazowany porządkowy na pierwszym planie. Właściwie to tego bramkarza można przeoczyć, mimo że stoi najbliżej fotografa. Na drugim zdjęciu frontman stoi tyłem do obiektywu, za to okazałe prezentuje się tłum pod sceną. W obu kadrach uwagę przykuwa jeszcze jedno: na Dzikim jest jeszcze dużo miejsca na tatuaże.



Śliski papier, na którym wydrukowano program trzynastej Rawy, trochę pożółkł.
Jako pierwsza na dużej scenie jest wypisana Liga Dusz w składzie... nieaktualnym.
Dlaczego?

Zaproszenie „do udziału w »Rawa Blues Festiwal« na »Dużej Scenie« katowickiego
»Spodka«” nosi datę 19 maja 1993. Organizatorzy piszą w nim: „Prosimy o przysłanie
dokładnego składu Waszego zespołu”. Zakładam, że dostali te informacje najwcześniej
w ostatnich dniach maja, ale bardziej prawdopodobne, że w czerwcu. Wychodzi na to,
że latem połowa muzyków odeszła z Ligi. Faktyczny skład pamiętają sami muzycy.
Kto grał w grupie we wrześniu, można też zobaczyć w filmie „Rawa Blues '93”.

Piszę o tym, bo ulotka z nieprawdziwą informacją to ślad częstych zmian sekcji
rytmicznej, które utrudniały karierę i artystyczny rozwój. Jest jeszcze drugi, ważniejszy
powód. Krótko przed pierwszym występem na Rawie do Centnara, Dzikiego i Konopka
dołączyli bracia Żemłowie. Artur, znany jako Zeman, cieszył się renomą pałkera Nadzoru,
hardcorowego tria, które w drugiej połowie lat 80. w punkowym świecie zdobyło
(waham się chwilę nad najwłaściwszym słowem) jeśli nie sławę, to co najmniej rozgłos.
Piotr ksywkę Młody (w użyciu do dzisiaj!) zawdzięcza temu, że ma starszego brata.
Ale jako muzyk, gitarzysta, szybko wyszedł z cienia bardziej doświadczonych kolegów.
O jego grze z uznaniem mówią i laicy, i muzycy.

Pod koniec PRL-u za salę prób dla mnóstwa kapel, które szukały własnej drogi na sceny
i stadiony, służyła kanciapra przy strażackiej remizie w Oświęcimiu. W tej pakamerze
poznałem Młodego. Na rozgrzewkę, a może też dla szpanu ciupnął czyściutko
i swobodnie, z oryginalnym, brudnym brzmieniem karkołomne intro „Master of Puppets”
Metaliki. A potem wywijał solówki. Patrząc na jego palce śmigające po gryfie,
utwierdzałem się w przeświadczeniu, że Piotrek jest kosmitą.

Pytam Dzikiego o najlepszy skład Ligi Dusz.

– Młody Zeman, Artur Żemła, Andrzej Brózda, Konopek, Centnar i ja. To jest cała bomba
atomowa – wylicza po krótkim namyśle, ale zdecydowanie.

SOBOTA — 25 września godz. 16.00

DUŻA SCENA

1. LIGA DUSZ
WIEŃCŁAW KANIGORSKI
JANUSZ CENTNAR
KRZYSZTOF KONOPKA
ROBERT BRODZICZAKOWSKI
JACEK FURTAK
WITOLAW ZONTEK

2. PAWEŁ SZYMANSKI
TADEUSZ POCHĘCZYŃSKI
LESZEK KOWAL
PIOTR ŁAPA

3. MONKEY BUSINESS
ROBERT GOLA
BOLANDER DEARD

4. ESSENTIAL MUSIC
MAŁEK MONDRIEWSKI
SŁAWEK MALICKI
SŁAWEK JAGAS
JANUSZ SKRAJNA
MARIUSZ PARANDOWSKI

5. ZDROWA WODA
JANUSZ WYKPIEŻ
ANDRZEJ GĄPKA
BOGDAN SIMON
JANUSZ BORZĄK
MAŁEK KUBIŃSKI
ADAM GŁOŃDA
JANUSZ WYCHŁE
PIOTR SZCZEBIŃSKI

6. GANG OLSENA
JANUSZ WYKPIEŻ
ANDRZEJ GĄPKA
BOGDAN SIMON
JANUSZ BORZĄK
MAŁEK KUBIŃSKI
ADAM GŁOŃDA
JANUSZ WYCHŁE
PIOTR SZCZEBIŃSKI

7. PARK SIOPI
JANUSZ WYKPIEŻ
ANDRZEJ GĄPKA
BOGDAN SIMON
JANUSZ BORZĄK
MAŁEK KUBIŃSKI
ADAM GŁOŃDA
JANUSZ WYCHŁE
PIOTR SZCZEBIŃSKI

8. ORBITA PREZYDENTA
JACEK LUBENSKI
WITOLAW ZONTEK
ANDRZEJ MALCHER
SŁAWOMIR SOBIELE
ARTUR KOWALCZYK

9. DZEM
RYSZARD RHOŁ
JACEK LUBENSKI
ADAM OTERA
BENEDIKT OTERA
PATEL BERGER

10. TADEUSZ NALĘPA
ANDRZEJ MALCHER
MAŁEK KUBIŃSKI
GŁOŃDA
TOMASZ SZKALSKI
ARTUR GŁOŃDA

11. JAN „KYS” SKRZEK
LAMA CHASE BAND

12. CURTIS KNIGHT And
LAMA CHASE BAND

godz. 12.00

MAŁA SCENA

1. BLOOD MONEY
MAŁEK KUBIŃSKI
PIOTR RABO
JANUSZ WYCHŁE
JACEK LUBENSKI
SŁAWOMIR SOBIELE

2. GREEN GRASS
JACEK LUBENSKI
BOGDAN SIMON
ANDRZEJ MALCHER
JANUSZ WYCHŁE
PIOTR SZCZEBIŃSKI

3. KLUSEM Z BLISEM
TOMASZ SZKALSKI
JANUSZ WYCHŁE
WITOLAW ZONTEK

4. NIGHT COME
BOGDAN SIMON
MAŁEK KUBIŃSKI
MAŁEK BRZEZIŃSKI
JACEK LUBENSKI

5. TORELLA PLAT
MAŁEK KUBIŃSKI
PIOTR RABO
JANUSZ WYCHŁE
JACEK LUBENSKI

6. SWAWOLNY DYCHO
MAŁEK KUBIŃSKI
ANDRZEJ MALCHER

7. ...

RAWA BLUES FESTIVAL

40 - 843 Katowice ul. Osowska 32 a / 11 tel / fax 1 54 88 65

KATOWICE 19.05.93

Łiga Dusz

Zawiadomienie: do zespołu
miałą się zgłosić do udziału w "RAWA BLUES FESTIVAL"
na "Dużej Scenie" - katowickiego "Spodka" w
pierwszym dniu imprezy.

W tym roku festiwal odbędzie się 25 i 26.09.93, w
obiekcie międzynarodowej Probi zespołów na "Dużej Scenie"
od godz. 13.00, koncerty od godz. 19.00 (inne przedmioty około
20.00).

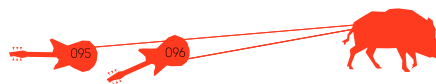
Zaproszenie zespołu koncertu podjęty i rachunek
zawieszony w czasie 15 minut (15.00) i nie więcej niż 24.00 na
20.00. Prosimy o pisemne potwierdzenie przynajmniej na "RAWA
BLUES FESTIVAL" do 20.07.93 i zachowanie w tym celu
plakietki, reklamacyjnej, wypisy, imprezy, które umożliwią
rozstrzygnięcie na Waszym terenie.

Przepraszamy za opóźnienie, głośno z informacją o "Rawie
Blues" (zawieszony koncert) przesyłamy o przewidywanym
składzie Waszego zespołu na adres: Henryk Brzezinski ul.
Wypisy 31.5. 1993. 41-41-712 skrytka pocztowa 47
(do 29 lipca 93).

Jedną z naszych reklam Katowice najłatwiej to wydławić
waszą gazetą z informacją o "RAWA BLUES" i o Was!

z Marceja podziwianiem
dla Was
dla Was
dla Was

↑ fot. Prywatne zbiory Dzikiego



W mordę jeża ślicznie

kapela naprawdę re-we-la-cyjna

cholera... ten głos... szok...

To są komentarze internautów z czasów, zanim wszystko pochłonął Facebook. W 2009 roku autor strony „To, co mi gra, czyli muzyczny blog Piotra K.” zamieścił wpis „Liga Dusz”, udostępniając czytelnikom nagrania zespołu.

W mordę jeża, jeżozwierza. Ech....

To jest zajebiste!

ma ktos moze jakies aktualne informacje na temat tej kapeli ? Graja jeszcze ?

muza rewelacja.

Nie muszę dodawać, że zachowałem oryginalną pisownię. Nie wybierałem przychylnych opinii, omijając krytyczne. Na blogu Piotra K. nie ma złego słowa o muzyce Ligi.

ja dalej nie moge sie otrzasnac z szoku po poznaniu nagranych tej kapeli. Jak dla mnie, najciekawsze odkrycie ostatnich wielu, wielu lat. Nigdy nie przypuszczałem, że znajdzie się ktoś, kto w tak piękny sposób zagra muzykę, która dotychczas raczyła nas tylko Dżem z Riedłem.

Wspaniała muzyka Polecam wszystkim REWELACJA

Przesłuchałem wszystko Cudowny blues żeby nie ludzie z neta ominęła by mnie dawka wspaniałej muzyki Naprawdę dziw bierze że nie przebili się z tak świetną muzyką

Piotrowi K. zawdzięczam też informację, kiedy Liga się rozpadła. Pytałem o to Wieśka i Janusza. Obaj nie byli pewni. Już myślałem, że do tej książeczki trafi kolejne „chyba” albo „zdaje się”. Ale internet pamięta. Pod postem na muzycznym blogu znalazłem komentarz zamieszczony 31 sierpnia 2009 o godzinie 12:51:

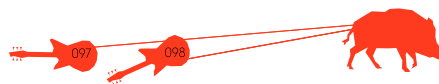
Witam! Z tej strony Dżiki.

Bardzo mi miło, że ktoś poświęcił nam chwilę i stworzył stronę o Lidze Dusz.

I dziękuję również za miłe komentarze. Tak dla informacji: od 2 lat już nie ma Ligi Dusz.

Ja śpiewam dalej, czasem z Hendonem, czasem z Marcinem Boińskim. Cały czas siedzę w bluesie. I to, jak Piotr napisał – kocham bluesa i będę śpiewał do ostatnich moich dni.

Pozdrawiam



ŻYWIEC (imk) Ten koncert zatytułowano „Zaduszki rockowe”. Organizatorem jest Państwowy Zakład Opiekuńczo-Leczniczy w Międzybrodzu Żywieckim. Szuka w ten sposób pieniędzy na pracę terapeutyczną ze swoimi pensjonariuszami.

Rockowe zaduszki

— To zakład psychiatryczny — powiedział nam Ryszard Stroński. — Mamy prawie 250 pacjentów. To ludzie po trzykroć skrzywdzeni: przez chorobę, najbliższą rodzinę i całe społeczeństwo. Nie brakuje nam na jedzenie, czy ubranie. Chcielibyśmy jednak zrobić dla naszych podopiecznych coś więcej.

Zakład zorganizował już dwie imprezy — pierwsza przyniosła 7,5 mln dochodu, druga — ledwie 5 milionów. Ta będzie trzecia. Za

darmo wystąpi oświęcimska Liga Dusz, laureat ostatniej Rawy Blues oraz dwa żywieckie zespoły: Asar i Klejnoty Polskiej Kultury. Koncert odbędzie się w Zakładowym Domu Kultury Żywieckiej Fabryki Papieru, 19 października o godz. 18.

— Nie liczymy na gigantyczne zyski. Sala pomieści około 300 osób. Bilety będą kosztowały 30 i 35 tys. zł — dodał Stroński.

Zakład psychiatryczny w Międzybrodzu ma swoich przyjaciół i sponsorów — Urząd Miasta w Żywcu, Żywiecki Ośrodek Kultury i Przedsiębiorstwo Turystyczne „Sola”. Zdziwienie wśród dziennikarzy wywołał brak na tej liście żywieckiego browaru.

— Przykro mi o tym mówić — stwierdził Stroński — ale ta firma odrzuca skutecznie nasze prośby o wsparcie. Browar inwestuje w znacznie większe sprawy, na przykład Miss Polonia, Festiwal Piosenki w Sopocie czy Rajd Wisły. Nie obchodzi ich los kilkudziesięciu psychicznie chorych.

W dzikim archiwum jest artykuł „Rockowe zaduszki”. Nie udało mi się zidentyfikować, z jakiej gazety został wycięty. Anonsuje koncert organizowany przez Państwowy Zakład Opiekuńczo-Leczniczy w Międzybrodzu Żywieckim. Czytajmy:

— To zakład psychiatryczny — powiedział nam Ryszard Stroński. — Mamy prawie 250 pacjentów. To ludzie po trzykroć skrzywdzeni: przez chorobę, najbliższą rodzinę i całe społeczeństwo. Nie brakuje nam na jedzenie czy ubranie. Chcielibyśmy jednak zrobić dla naszych podopiecznych coś więcej. Zakład zorganizował już dwie imprezy — pierwsza przyniosła 7,5 mln dochodu, druga — ledwie 5 milionów. Ta będzie trzecia. Za darmo wystąpi oświęcimska Liga Dusz, laureat ostatniej Rawy Blues.

Niezwykła impreza, trzeba dopytać muzyków o szczegóły, a nuż utknęło im w głowach coś szczególnego — tak pomyślałem w pierwszej chwili. A w następnej zreflektowałem się, że to jest zapowiedź, a nie relacja ani recenzja. Przecież nie wiem, czy do tego koncertu w ogóle doszło. Zapytałem Janusza i Krzysztofa i niczego nie wyjaśniłem („może tam graliśmy, nie pamiętam”, „straszenie dużo wtedy się działo”). Dziki też nie pomógł.

Żywiecka kronika kulturalna

„Polskie medale i odznaczenia” to tytuł wystawy otwartej w dniu 11 października 1994 r. w sali wystawowej żywieckiego Muzeum. Można było zobaczyć medale i odznaczenia od czasów powstania II Rzeczypospolitej po czasy współczesne z kolekcji prywatnych i Muzeum w Żywcu.

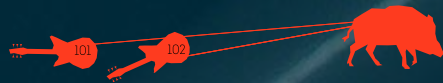
Państwowy Zakład Opiekuńczo-Leczniczy z Międzybrodzia Żywieckiego zorganizował w dniu 19 października br. w Zakładowym Domu Kultury „Papiernik” w Żywcu „ZADUSZKI ROCKOWE” pamięci R. Rydla. Wystąpiły zespoły młodzieżowe LIGA DUSZ, „ASAR”, KLEJNOTY POLSKIEJ KULTURY i COLD WIND.

Staraniem Polskiego Związku Chórów i Orkiestr Oddział Wojewódzki w Bielsku-Białej i Żywieckiego Ośrodka Kultury — w Sali Łańcuchowej Nowego Zamku w Żywcu odbył się w dniu 22 października UROCZYSTY KONCERT z udziałem Chóru AKORD, który wykonał z akompaniamentem A. Teschmana pieśni S. Moniuszki oraz z Miejską Orkiestrą Kameralną z Żywca utwory Fr. Schuberta i G. Verdiego — dyrygował T. Trębacz, Miejskiej Orkiestry Kameralnej pod dyktando K. Jęgły, która wykonała utwory takich kompozytorów, jak: M. Wójtowicz, P. Trompetta, P. Kalman i J. Strauss (solistą S. Kosiół — puzon) oraz połączonych chórów męskich z Orłowej i Czeskiego Gęszyna (Czechy), które wykonały utwory kompozytorów J. Kiza, P. Kalety, W. Zelenkiego, S. Wiechowicza, Fr. Schuberta i J. Kołaczalowskiego — dyrygował J. Rusok i A. Suchanek.

Na marginesie dodam, że kiedy trzeba potwierdzić jakąś informację, Wiesiek sięga po „Encyklopedię muzyki popularnej. Blues w Polsce”. Traktuje ją jak wyrocznię i polega na niej bardziej niż na swojej pamięci, mimo że biogram Ligi jest nieściśły i nie można mu bezgranicznie ufać. O Międzybrodzu Żywieckim oczywiście nic tam nie ma. Trudno, do szufladki z etykietą „niepotwierdzone” trafi jeszcze jedno wydarzenie. Trafiliby, gdyby nie „szukajcie, a znajdziecie”. Miesięcznik „Gazeta Żywiecka” z grudnia 1994 roku na dziesiątej stronie wcisnął między wystawę medali a uroczysty koncert Chóru Akord następującą notkę:

Państwowy Zakład Opiekuńczo-Leczniczy z Międzybrodzia Żywieckiego zorganizował w dniu 19 października br. w Zakładowym Domu Kultury „Papiernik” w Żywcu „Zaduszki Rockowe” pamięci R. Riedla. Wystąpiły zespoły młodzieżowe: Liga Dusz, Asar, Klejnoty Polskiej Kultury i Cold Wind.

Ktoś się zachnie, że ten drobniadek nie zasługuje na tyle uwagi. A ja z powodu tej dupereli mam rzadką frajdę, bo jestem przekonany, że kiedy się dostrzeżę detale, to obraz jest pełniejszy.



Janusz Centnar opowiada, że Wiesiek co jakiś czas „przynosił” nowy tatuaż.

– Kiedyś mówię do niego: „Dziki, co mi tu pokazujesz? Na łokciach nic nie masz”.

Za tydzień przychodzi i: „Masz, Centnar! Masz!”, słoneczka na łokciach...

Wariat jest, zawsze był.

Pierwsza dziara była na plecach, ale już jej nie ma, przykryły ją inne. Widocznie nie była powodem do chluby. Kiedy ją sobie zrobił? Chwilę szuka w pamięci. Miał już trzydziestkę, kiedy zaczął się tatuować. Teraz trudno byłoby mu znaleźć kawałek skóry na nowy rysunek. Na sercu nosi wizerunek córki, a na boku – Ryśka Riedla.

Na torsie, brzuchu, plecach, rękach i nogach kryją się monstra, potwory i maskary. Na uszach czają się pająki. Orzeł, smok i jaszczur łypią na trupie czachy. Krasnolud i osobnik w typie sarmaty baczą na diament i krzyż. Pole do interpretacji i domysłów otwierają: oko opatrności, symbol równowagi yin yang i mikrofon.

W tym chaosie jest urok.

– Co mi pasowało, to sobie robiłem – objaśnia Dziki podczas oględzin. Ponieważ słyszałem o jakimś wodzu, pytam, gdzie on jest. Wiesiek ogląda się z lekkim zakłopotaniem – Indianina nie mam chyba. O! – znalazł. – Jest! Z wilkiem! A to nie jest jakiś kotek – obrusza się. – To jest kot faraona.

Wydaje mi się, że sentencje wypisane na Dzikim tworzą opowieść o tym, jak przez lata zmieniały się jego przekonania i co w jego życiowej filozofii brało górę. Ale to tylko hipoteza, której nie uda mi się potwierdzić, bo Wiesiek nie przywiązuje wagi do tego, kiedy które credo pojawiło się na jego ciele. Pisownia oryginalna: „Urodziłem się po to aby robić PIEKŁO”, „W życiu tylko śmierć jest pewna”, „Teraz śmierć a później płacz”, „Vide cui fide” (nie rozumiem, więc Dziki tłumaczy: „Patrz komu ufasz”), „Samotność to taka wielka trwoga ogarnia mnie przeraża mnie” (z piosenki Dżemu „List do M.”), „Skazany na bluesa” (tytuł filmu o Ryśku Riedlu i zarazem piosenki Dżemu), „Ostatni w raju”, „Forever young”, „Zawsze warto być człowiekiem”, a wreszcie „Bóg Honor Ojczyzna”. Czy te dewizy układają się w logiczny ciąg? Być może. Ale inna kolejność też byłaby na miejscu.

Kiedy w nieistniejącym już Bazylu było jakieś granie, klientom, którzy zapłacili za wstęp, przybijano na przedramieniu pieczętkę. Dzięki temu obsługa mogła łatwo ustalić, czy gość, który wraca na przykład z fajki, ma prawo wejść na koncert. Wiesiek, kiedy śpiewał w piwnicy na Rynku, mimo że się zżymał, też był pieczętowany dla porządku. Któregoś dnia, gdy wchodził do pubu, zatrzymała go zażywna barmanka:

– Dziki, pieczętka.

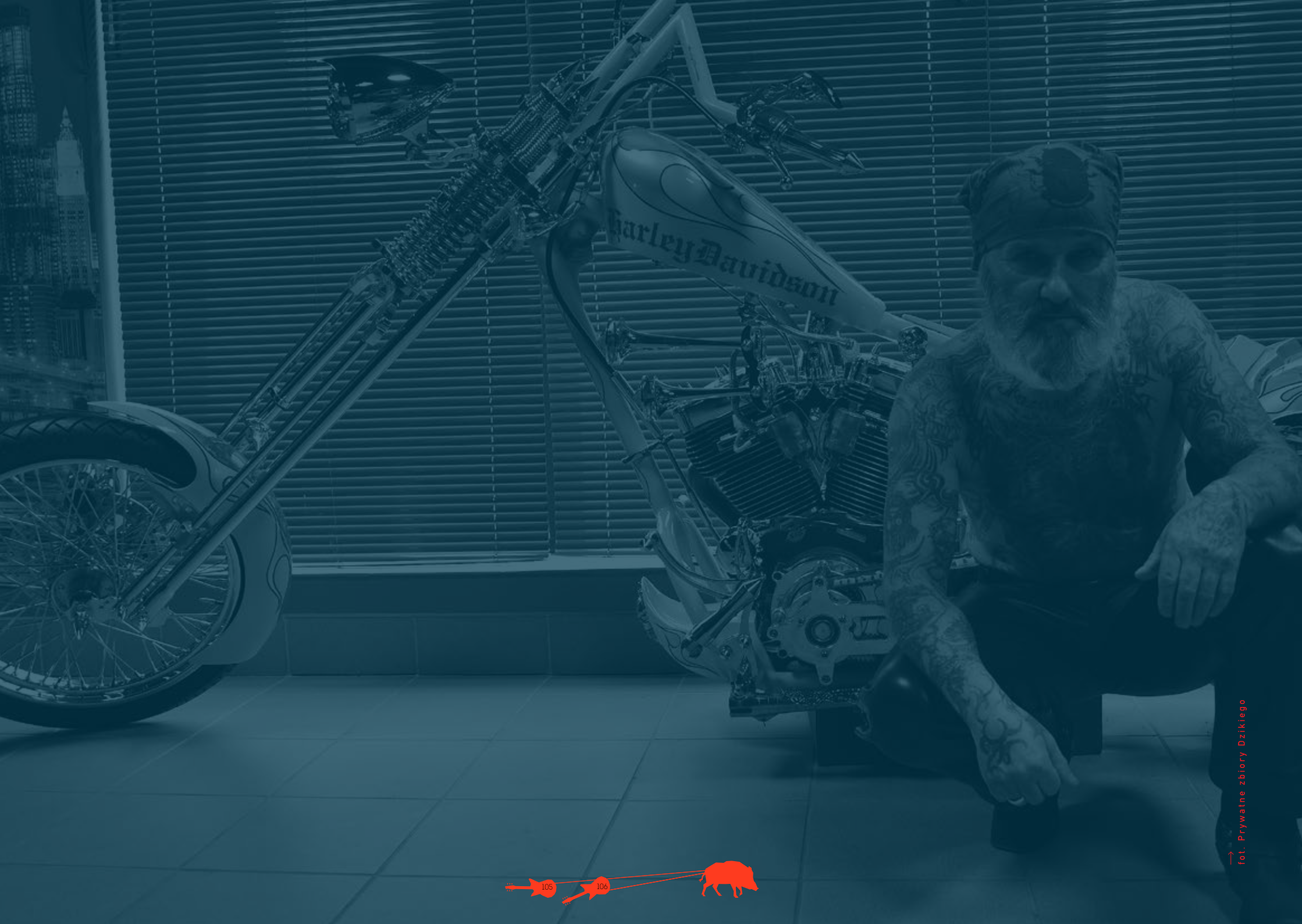
– Mam na stałe! – odwinął rękaw i z dumą pokazał wytatuowany znak na nadgarstku.

Zawsze chętnie prezentował tatuaże. Jako frontman Ligi Dusz często pozbywał się koszuli w drodze na scenę. Koncert to jest święto i okazja, żeby przywdziać rockowy ryszunek, przykryć łysinę bandaną albo bejsbolówką, błysnąć kolczykiem i sygnetami. Dziki ma wydeptane ścieżki do wszystkich ciucholandów. Zawdzięcza im niepowtarzalną kolekcję koszulek, które zdobią nazwy zespołów i twarze gwiazd muzyki. Wielu się pozbył, rzucając w publiczność podczas występów. I nie żałuje. Było warto.

– Jeśli człowiek mówi bezpośrednio do ludzi – wspomina po latach Janusz Centnar – jest wydzierany, ma taką brodę, to już jest kupiony. W Spodku od razu koszula poszła i „Się macie małolaty!”. Dziki był naturalny, nie grał. Dlatego miał zawsze przewagę na scenie jako frontman, bo inni się kreowali, przebierali. Zwracali uwagę, „czy ja jestem fajny?”. A on po prostu wychodził. Zawsze porządnie ubrany, zawsze skóra, zawsze starał się wyglądać jakoś kultowo.

Dziki rockandrollowiec pasuje do motoru. Można by pomyśleć, że nigdy z niego nie zsiada. Śpi na harleyu. Wiele razy gościł i śpiewał na zlotach motocyklistów. Był dobrym duchem i talizmanem swobodnych jeźdźców i piekielnych aniołów. A że nigdy na motocyklu nie jeździł? Nie każdy musi mieć prawo jazdy.





Dopytując o szczegóły, szukając informacji, czytam na głos jakiś wycinek.
Artykuły i wywiady z Wieśkiem nie stronią od tromtadrackich określeń.
Trochę się krzywi na dźwięk kolejnej „legendy”, „ikony” albo „symbolu”.
Ciągnę go za język.
– Dzikie. I wystarczy.

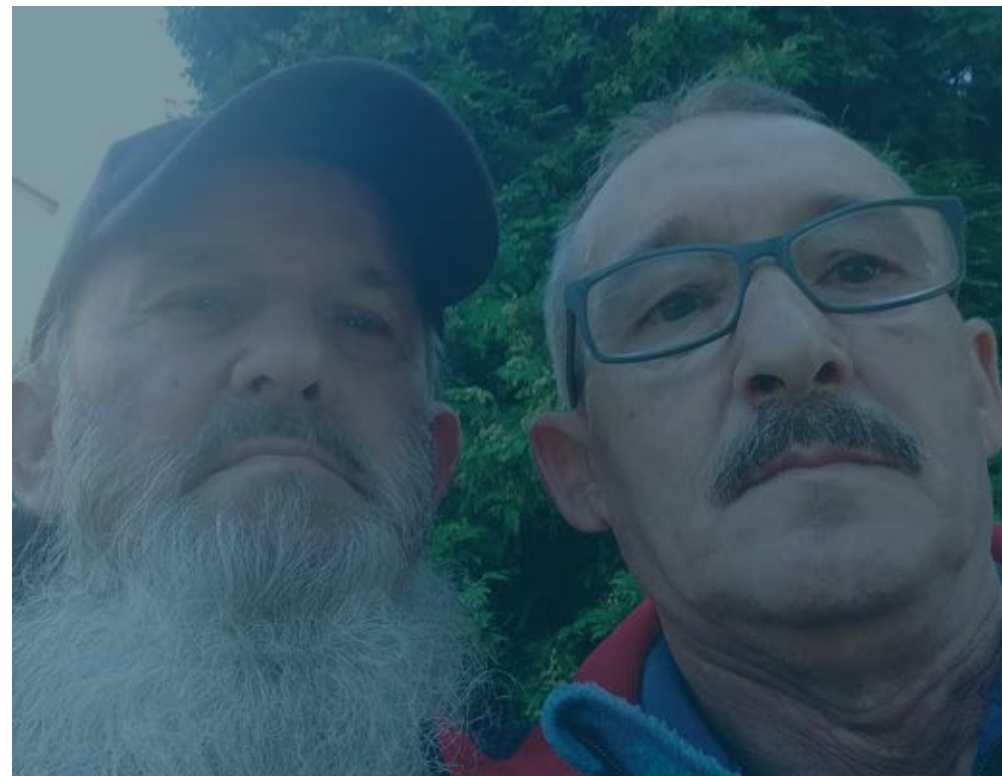
Liga Dusz pozostanie dla Dzikiego – nie boję się przesady
– muzycznym rajem utraconym. O liderze zespołu mówi tak:

– Centnar miał łeb do piosenek. Nie pisał o dupie Marynie, tylko o życiu.
Tekst piosenki „Ptaki” napisał w ciągu piętnastu minut. Budził się w nocy i pisał.
Ktoregoś dnia mówi: „Dla ciebie to napisałem, o tobie, jak chlałeś.
Twój ból, twoje serce, dedykuj to żonie ode mnie”.

Piosenkę „Od nowa” Dzikie śpiewa po dziś dzień.
Zawsze zaznacza, kto jest jej autorem.

*Dziś wróciłem, aby żyć od nowa.
Dziś wróciłem, by naprawdę żyć.*

*Późno już, ciemno już, lecz spokojnie.
I gdzieś podział się strach i wątpliwość, jak żyć.*



→
Dzikie i Janusz Centnar. Spotkanie po latach.
Oświęcim 2021.
fot. Janusz Centnar

Anonim

Dziki – wrażenie po pierwszym spotkaniu – typ niepokorny, wiecznie młody duchem, showman, bajkopisarz, mistrz jednego coveru z dobrym wokalem, w którym słyszeć, że jego właściciel niejedno przeżył.

Wiesiek – wrażenie po setnym spotkaniu – wciąż showman, mistrz trzech coverów, ale i troskliwy ojciec i mąż, empatyczny, wrażliwy, nieobojętny na cierpienie innych ludzi, zawsze skory do pomocy, wieczny wolontariusz, świadomy alkoholowych błędów młodości i wytrwały w abstynencji, zapewne inspirujący dla wielu młodych, wciąż jeszcze lekko buntowniczych dusz.

Paweł Wodniak

Dziki to przede wszystkim Obywatel Oświęcimia. Tak właśnie, przez duże „O”. Człowiek niesamowicie przyjazny i sympatyczny. Zawsze będzie mi się kojarzył ze „Snem o Wiktorii”. Dziki jest świetnym rozmówcą. Nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek przeszli obok siebie i wymienili się tylko krótkim „cześć”. Zawsze ma coś ciekawego do powiedzenia i potrafi słuchać. Spotkanie i rozmowa z Dzikim ładują akumulatory i nastrojają optymistycznie.

Zdzisław Kozaczek

Wiesiek z różnych dołków się wydostał, nawet w trudnych czasach, kiedy ludzie nie dawali sobie rady. Kiedyś myślałem: „co on się tak obnosi, że z tym alkoholem... też mi wielkie...”. Po wielu latach zmieniłem zdanie – to było bardzo ważne. On ma charakter. Znam wielu ludzi, którzy, niestety, z nałogów się nie uratowali. Poszli do nieba na własne życzenie. A może byśmy się jeszcze umawiali, gdyby mieli takie podejście jak Wiesiek. Po tym wszystkim, co on nawywijał, wylazł z tego i jest w takim miejscu, w jakim jest. Ciekawy facet...

Zupełnie osobną częścią jest jego artystyczne życie. To, co robi na scenie, jest nie do podrobienia. Pewnie, że się wzorował, że miał z tyłu głowy zawsze Dżem. Ale nie tylko, bo przecież walczył „Victorię” – i wszystko jasne.

Tomasz Kopaczewski

Moje spotkania z Dzikim.

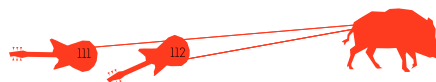
Po raz pierwszy Dzikiego spotkałem na meczu hokejowym Unii Oświęcim w 1982 roku. Ja – młody szczyl, Dziki, jak to Dziki, szalał i rozgrzewał kibiców. Pijany, zataczający się Dziki.

To było moje pierwsze spotkanie.

Kolejne to już Dziki abstynent, niepijący, śpiewający bluesa.

Moje spotkania z Dzikim, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Oświęcimiu, nie były regularne, nie przyjaźniliśmy się. Ot, spotkania na mieście, przed koncertami.

W nim jest ciekawość ludzi, świata. Każde spotkanie z nim było, jest przepełnione radością. Spotkanie miłego, radosnego chłopaka, z którym rozmawia się tak, jak byśmy się widzieli pięć minut temu, chociaż widywaliśmy się raz na 3-4 miesiące, później rzadziej. Rozmawialiśmy o zwykłych ludzkich sprawach, o jego planach oraz o muzyce. Bije od niego bardzo pozytywna energia. Ja znam takiego Dzikiego. Widzę w nim moc. Dla mnie Dziki to ciepły, radosny, miły, kochający ludzi Wiesiu.



Robert Trzop

O facecie, który w stanie alkoholowego uniesienia powiedział śmierci „wal się”, pierwszy raz usłyszałem w połowie lat 80. Od szwagra mojego szwagra. Początkiem lat 90. słyszałem o Dzikim, nawet mieszkając na Śląsku! Później była Liga Dusz, wspólne koncerty, picie (bez Dzikiego, ale z jego opowieściami). I wiele lat, kiedy o Dzikim mówiło się w wielu miejscach. Więc kim jest Dzikim? Legendą? Trochę tak.

Znam niewiele osób uzależnionych. Osobiście może mniej niż dziesięć. Ile z tych osób wyszło na prostą? Tylko On! Znam osoby uzależnione od alkoholu, od leków, jedną od narkotyków. Staczają się. A Dzikim ma świadomość! On wie, że kieliszek może go zabić. Wie, jak wszyscy inni, a mimo tego uczestniczy w tym całym rozrywkowym świecie i to właśnie On zawsze mówi: NIE! To jedyna ze znanych mi osób, która zawsze świadomie i bez wahania mówi: „Nie! Alkohol mnie zabije”. On to wie. Więc kim dla mnie jest Dzikim? Bohaterem? Bohaterem własnego nałogu? Tak! Po trzykroć tak!

Śmierć dopominała się o niego wielokrotnie. Najpierw namawiała go do samounice-
stwienia, później zesłała tragiczny wypadek, na koniec próbowała złamać ciężką
chorobą. Pewnie niejeden już schyliłby głowę i zasnął na wieki, a Dzikim wciąż trwa!
Wciąż żyje. Wygrywa ze śmiercią grę o własne życie. Widać tak ma pisane.
Na każde skinienie kostuchy krzyczy: „Pierdol się!”. Kim jest Dzikim? Szczęściarzem!

Rozmawiam czasami z Dzikim. Jest wylewny. Lubi mówić. Głównie o sobie.
Życie miał ciekawe, więc różnych opowieści i anegdot ma w zapasie sporo.
Czasami w tych swoich opowieściach zdaje się być centrum wszechświata.
Historie, w których sam sobie jest bohaterem, trochę mogą śmieszyć, trochę
denerwować, a przecież są kompletnie zbędne. Niepotrzebnie tworzy wokół siebie
mnóstwo mitów, bo powoli staje się gawędziarzem, bajkopisarzem.
A przecież najlepiej, aby pozostał tym, kim jest – legendą, bohaterem, szczęściarzem.

Barbara Konopka-Gruber

Mam niesamowity szacun do Dzikiego. Tonął po uszy – przepraszam – w gównie.
I z niego wyszedł. W pewnym momencie powiedział sobie: nie, nie piję. I poszedł
do przodu. Odrodził się jak feniks z popiołów. Jaka w nim jest siła wewnętrzna!

Dzikim ma osobowość, charyzmę. Jest w nim chęć życia, tworzenia i działania.
Oczywiście ma fantastyczny głos. Nie każdy umie tak jak on ludzi wkołać siebie
zgrupować.

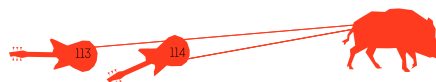
A Dzikim ledwo wyjdzie na ulicę i już go dwadzieścia małałat po brodzie głaszczą!
Myślę, że po tym, ile on zrobił przez tyle lat dla Oświęcimia, powinien mieć kasy jak lodu.

Ale przede wszystkim jest człowiekiem. Szczerem do bólu, wesołym i utalentowanym.

Krzysztof Konopka

Dzikim to jest najbardziej charyzmatyczny zawadiaka, nieobliczalny, nieokrzesany,
niesforny charakter, ogólnie pozytywny, chociaż często nie wiadomo,
czego się po nim spodziewać.

To, że on nie pije tyle lat, to jest jego wielki sukces. To, że może śpiewać, z pewnością
zawsze go rajcowało i mobilizowało, żeby wytrwać w niepicciu, bo wiadomo było,
że jeśli przerwie abstynencję, to wszystko się posypie. Na pewno zespół mu w tym
pomógł. Myśmę go wszyscy szanowali za to, że mimo różnych emocjonalnych
perturbacji nie wrócił do picia.





Artur Szyndler

Dziki był stałym bywalcem koncertów, które organizował Git-Core.

Był zainteresowany każdym rodzajem muzyki albo raczej w każdym widział ciekawy potencjał. Słuchał bluesa, hard-rockowych rzeczy, heavy-metalowych, ale wszystkie kapele, które przyjeżdżały do nas – dość ekstremalne – jego też ciekawiły, bo on się fascynował samym zjawiskiem, jakim były organizowane przez naszą ekipę koncerty. Jest muzycznym pasjonatem. Nie słyszałem nigdy z jego ust, że to jest do dupy, bo mu się nie podoba. W git-core'owych koncertach widział jakiś rodzaj energii, która go pociągała.

Miał i ma do tej pory naturalną zdolność nawiązywania kontaktów, co powoduje, że młodzi i starsi znajdują z nim wspólny język. Miał i pewnie ma ciężkie życie, ale nigdy nie słyszałem, żeby narzekał. Nie widziałem, żeby nie był uśmiechnięty, zadowolony. Ma wbudowany gen optymizmu. U Dzikiego nigdy nie było cienia zazdrości, zawiści. Nie słyszałem, żeby on o kimś wypowiedział się w sposób hejterski, negatywny albo nawet tylko lekko złośliwy.

Dzięki temu, kim jest, poprzez swoją osobowość i działalność Dzikiego stanowi „wartość dodaną” dla miasta i lokalnej społeczności.

Paweł Kobielusz

Jest rok '91 lub '92, rzecz się dzieje w internacie „Chemika”. Niesamowity ścisk, a na scenie Liga Dusz z Dzikim w roli głównej. Tam właśnie zobaczyłem Wieśka pierwszy raz jako 14-, 15-letni chłopiec. Rok później w okolicach Łukasiewicza, Smoluchowskiego, gdzie miałem ówczesznie przyjaciół, poznaliśmy się. Dla nas, małolatów z długimi włosami, zafascynowanych rock'n'rollem to było coś... Słuchaliśmy o muzyce, graniu i oczywiście chłaniu...

Później spotykaliśmy się wiele razy. Pamiętam wesele znajomych w Zielonce. Dzikiego również w roli gościa. Nie daliśmy Mu wyboru i tak po północy zaśpiewał nam „Czemu znowu ryczysz, Mała?”.

Dzisiaj, po 30 latach historia zatoczyła koło. Jesteśmy sąsiadami. Czasami zatrzymuję się na przystanku koło „bramy monowickiej” i podwożę Go do centrum. Ta krótka chwila w samochodzie to zawsze muzyka, granie („Młody, w weekend graliśmy, jaki był czad,mówię ci...”) ale, jak wiadomo, już nie chłanie!

Joanna Kasperek-Szymonik

Dziki nikogo nie naśladuje, jest sobą na scenie.

A na scenie najważniejsza jest prawda.

Słuchamy tego, co ktoś do nas mówi, słuchamy tekstu. To jest kwintesencja piosenki.

Nie jakieś tam dźwięki wyższe czy niższe ani cała masa ozdobników.

I Dzikiego to wszystko ma.

Nigdy mi się nie zdarzyło, żeby słuchała Dzikiego i się nudziła, patrzyła w komórkę, na zegarek, żeby czekała, kiedy skończy.

Bardzo charyzmatyczny jest na scenie.

Zawsze jest Jakiś.

Potrafi wykorzystać warunki, którymi został obdarzony przez naturę.

Dzikiego jest bardzo miły.

Całuje kobiety w rękę na powitanie. Znam może kilku facetów, którzy tak robią.

Bardzo lubi mówić o swoich koncertach, o swoim śpiewaniu, ale to nie jest w kategoriach chwalenia się. To jest w kategoriach dzielenia się.

Czym Dzikiego mnie wciąż zaskakuje?

Tym, że on cały czas jest młodym duchem. Cały czas jest niepokornym chłopakiem, facetem z tatuażami.

Marcin Boiński

Dzikiego jest przy każdej charytatywie, gdzie się tylko da. Zawsze miał i ma serce otwarte dla wszystkich. Gdziekolwiek ktoś by nie spytał: „Dzikiego, pomożesz?”

Bo trzeba to albo to, albo tamto”, on jest zawsze pierwszy. Zawsze był taki.

Żyje muzyką, żyje sobą w muzyce, więc jest w pewnym sensie zamknięty.

Z drugiej strony jest niesamowicie otwarty i bezinteresowny. On o pieniądzu nigdy w życiu nie rozmawia, tylko i wyłącznie o muzyce, o zabawie. I o zabawie muzyką.

Na pewno jest bardzo dobrym człowiekiem. Na pewno jest wizytówką Oświęcimia.

Na pewno jest muzykiem, fajnym wokalistą. (Kolejność tych cech i skojarzeń nie jest najważniejsza.) Dzikiego jest bluesmanem, wielkim fanem Dżemu, a Rysiek jest jego idolem.

Jest niepijącym alkoholikiem, o czym wiem tylko dlatego, że on sam o tym mówi.

Wyszedł z tego i jest po prostu mistrzem świata. Na pewno jest bardzo dobrym, kochającym ojcem i mężem. Jest człowiekiem otwartym i myślącym o innych.

Jeśli ktoś zadzwoni z nienacka, to będzie Dzikiego. Żeby Ci życzyć na przykład Wesołych Świąt. Na urodziny zawsze zadzwoni. Zdarza się, że zadzwoni złożyć życzenia bez okazji. Dzikiego nie napisze. On zadzwoni wtedy, kiedy się nie spodziewasz.

To będzie on - ma takie wycucie.





Łukasz Mrzygłód

Końcówka lat dziewięćdziesiątych. Oświęcimskie Centrum Kultury. Najniższa kondygnacja. Piwnice. W jednym z pomieszczeń sala prób dla co najmniej kilku zespołów. Mieszkało się tam wiele składów, w różnych personalnych i muzycznych konfiguracjach.

To właśnie tam bliżej poznałem Dzikiego. Śpiewał wtedy w Lokomotywie. To była ciekawa ekipa. Do dziś pamiętam brzmienie organów. Zaryzykuję i napiszę, że to był prawdziwy, wyjątkowy, oryginalny Hammond. Do tego mocna, wyrazista gitara i zgrana sekcja rytmiczna. Dziki na wokalu nadawał temu projektowi swoistej szorstkości, za którą go zawsze bardzo ceniłem. Nie próbował udawać profesjonalnego wokalisty. Niczego nie udawał. Był sobą.

Lokomotywie brakowało tekstów. Poprosili. Napisałem kilka. Chyba wszystkie na jednej próbie. Gdzieś na YouTube można wyszperać kawałki z jednego z koncertów. Pamiętam, że „Modlitwę” napisałem po rozmowie z Dzikim. Siedzieliśmy wtedy na korytarzu przed salą prób. Było siwo od nikotynowego dymu. Opowiadał o sobie, o przeszłości, o tym wszystkim, o czym wielu chciałoby zapomnieć. A on wspominał to ze spokojem, jakby opowiadał film. Obrazy z tego filmu mam do dziś przed oczami. Było w tej opowieści tyle pokory, że nie mogłem nie napisać „Modlitwy”. Kiedy po wielu latach usłyszałem ponownie ten utwór, poczułem ciarki na plecach. Zrozumiałem, że to nie ja byłem jego prawdziwym autorem.

Monika Bartosz

Jest jak barwny ptak na oświęcimskim firmamencie. Znam go od niepamiętnych czasów. Od pierwszego koncertu Ligi Dusz, który kapela zagrała na moim osiedlu Błonie, na jakimś letnim festynie, gdy byłem małą dziewczynką. Potem spotykaliśmy się wielokrotnie. Bo nie było rockowej imprezy w tym mieście bez Dzikiego. Na scenie albo pod sceną.

Od wielu wielu lat ten hippis w czapeczce, z brodą, z kolorowymi dziarami, w dżinsach i rockowych T-shirtach dynamicznym krokiem przemierza miasto, rozmawiając niemal z każdym spotkanym na ulicy znajomym. Zawsze w ten sam naturalny, niewymuszony sposób. Miejskim slangiem. Na luzie, bez zbędnych konwenansów, skracając dystans.

Wśród poruszanych w rozmowie tematów zawsze pojawia się muzyka. I wtedy Dziki się ożywia. Jego oczy błyszczą, gdy opowiada o nowych projektach, najbliższych koncertach, planach na przyszłość. Czasem mówi też o przeszłości. Występach na dużych scenach, poznanych muzykach, niewykorzystanych szansach...

O tym, że tak niewiele brakowało, a osiągnąłby komercyjny sukces... To chyba największe niespełnione marzenie i największy życiowy zawód Dzikiego. Że mógł być drugim Ryśkiem Riedlem...

Gdy w lutym 2009 roku mój mąż Albert wspólnie z przyjaciółmi organizował w OCK pierwszy wielki charytatywny koncert dla chorego na mukowiscydozę dwuletniego Patryka Wieczorka, naturalne było, że oprócz znanych muzyków, których udało im się ściągnąć do Oświęcimia (takich jak: basista legendarnej niemieckiej grupy Scorpions – Paweł „Baby” Mąciwoda, wokalistka zespołu Nie-Bo Jean Lubera oraz gitarzysta Robert Lubera, perkusista grający m.in w Lombardzie – Artur Malik, basista zespołu Wojtki Klicha- Bardzo Orkiestra – Jerzy „Kobra” Drobot, Marek Piekarczyk – wokalista zespołu TSA oraz Joachim Mencil z kontrabasistą), na scenie nie może zabraknąć lokalsów. Na scenie wystąpiły kapele: Trick, Jedyny Sensowny Wybór, Who Know’s, Krzywa Alternatywa, no i oczywiście nasz przyjaciel Marcin Boiński z nieśmiertelnym Dzikim na wokalu. Ten koncert był wyjątkowy. Sala widowiskowa OCK zapełniła się po brzegi. Dziki zaśpiewał kilka numerów, w tym obowiązkowo – swoją gardłową „Victorię” z repertuaru grupy Dżem i jak zawsze rozpałił publikę. Tak jak wszyscy pozostali muzycy – wystąpił całkowicie za darmo. Wtedy – prawie 13 lat temu – podczas jednego wieczoru udało się zebrać prawie 7 tys. zł. na leczenie małego Patryka. To była ogromna jak na tamte czasy kwota.

Rok później, gdy na nowotwór zachorował nasz 4,5- letni synek Igor, Dziki znowu pokazał, że ma serce chętne do bezinteresownej pomocy i występował charytatywnie na wielu zorganizowanych dla niego imprezach muzycznych.

Nie inaczej było, gdy w październiku 2010 roku do życia powołał się Fundację Mała Orkiestra Wielkiej Pomocy, która za cel postawiła sobie pomoc chorym dzieciom powiatu oświęcimskiego. Fundacja zorganizowała wiele muzycznych imprez, a Dziki – czy to z Marcinem Boińskim, czy Tadek Liszewskim – zawsze chętnie odpowiadał na zaproszenie, by wystąpić charytatywnie i wspomóc działania fundacji. Zwykle jeden telefon załatwiał sprawę. „Oczywiście gramy i pomagamy”.

Dziki kocha scenę i występy. To jego żywioł. Podczas koncertów daje z siebie 200 procent. Zapomina o niespełnionych marzeniach i zaprzepaszczonych szansach. Kipi energią jakby wciąż miał 20 lat. Znów jest nieokiełznanym Dzikim, rockandrolowym chłopcem, buntownikiem, u którego stóp leży cały świat.





→ Za kulisami koncertu dla Polirika Wieczorka:
Marek Piekarczyk, wiadomo kto, Paweł Maciwoda.
fot. Tomasz Mol

Jarosław Fiedor

Dziki to dla mnie jedna z najbardziej znanych oświęcimskich postaci. Mieszkam tu od urodzenia i odkąd pamiętam, zawsze się gdzieś przewijają w opowieściach mieszkańców, a i niejednokrotnie mijałem go na ulicy. Zawsze uśmiechnięty, skory do rozmowy. Znamy się bliżej od kilku lat, gdy zacząłem fotografować próby jego kapeli Dziki Squad, a następnie duetu z Tadeuszem Liszewskim.

Muszę też wspomnieć o pewnej sytuacji... Akurat byłem na urlopie. Pewnego dnia zadzwonił do mnie Wiesław, czy nie podjechałbym z nim do Krakowa na onkologię? Wspomniał, że kontaktował się z wieloma osobami, prosząc o pomoc, i nie uzyskał jej, mimo iż wielu go zapewniało, że zawsze w potrzebie może na nich liczyć. Takie życie. Pomogłem mu w tej sprawie jeszcze wielokrotnie i od tej pory zaczęliśmy się bardziej kumpłować.

Wiesław, mimo swojej czarnej przeszłości, to wspaniały człowiek z bluesem w sercu. Jego kariera muzyczna to dobry materiał na książkę, a może też na film. Bardzo go cenię i podziwiam. Życzę mu dużo zdrowia i pomyślnych nutek.

Grzegorz Gniady

Znam Dzikiego od 1990 roku. Ten człowiek się nie zmienia. Jest wiecznie młody duchem.

Dla Wieśka bardzo ważna jest rodzina i przyjaciele. Jego żona Wanda i córka Sylwia są dla niego najważniejszymi osobami na świecie.

Dziki dzięki swojej otwartości i szczerości nie ma żadnych kompleksów. Ma kontakt z ławkowymi pijakami, uczniami, muzykami, politykami i dziennikarzami. Szanuje ludzi, dopóki oni szanują jego.

Ten charyzmatyczny artysta w pełni zasłużył sobie na miano ikony Oświęcimia.

Wiesiek Dziki Kaniowski to prosty i szczerzy chłop, brat-łata. Jego największą zaletą jest autentyczność. Jest w jego duszy wiele zachowań ze starych menelskich czasów, ale to jest nostalgiczne, ponieważ takich ludzi już nie ma wśród młodych.

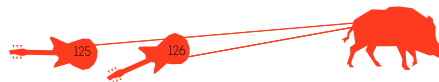
Dziki to były Menel i Chuligan przez duże M i duże Ch. Miał i ma zasady oraz honor, jak duża część środowiska menelskiego jego czasów. Łza się w oku kręci, że kiedyś mogli być chuligani i alkoholicy, którzy jednak kierowali się swoim kodeksem moralnym i wiedzieli, jakiej czerwonej linii nie przekraczać. Dlatego Dziki jest tak lubiany przez mieszkańców Oświęcimia.

Muzyka uratowała go przed całkowitą degeneracją i dała mu siłę oraz radość życia.

Wiesiek Dziki Kaniowski jest produktem PRL-u lub, jak kto woli, bardziej romantycznych czasów. Przypomina trochę postaci z filmu „Stawiam na Tolka Banana”. W tym serialu była grupa nastoletnich chuliganów pod przywództwem Karioki, a później Tolka Banana, której członkowie mieli zasady, potrafili być bardzo romantyczni i pomysłowi, i byli wolni jak Indianie Ameryki Północnej. Wiesiek Dziki Kaniowski jest takim Indianinem Oświęcimia.

Tomasz Klimczak

Dziki, czyli Wiesław Kaniowski to wokalista, a przede wszystkim człowiek z krwi i kości. Bluesman niestroniący od rocka, metalu czy reggae, którego jednak przewodnikiem muzycznym pozostanie chyba na zawsze Ryszard Riedel. Wiesław to symbol tego miasta, którego zna większość mieszkańców. Dziki, tak jak to miasto podniosło się z wojennej traumy, wyszedł z alkoholowego nałogu. Po prostu człowiek...



Apolonia Maj

Dziki to wolny człowiek. Wolny od przesądów, ograniczeń i konwenansów.
Wolny od układów i zależności.

Wolny, bo pokonał słabości i odzyskał własne życie. Odważny, bo przyznał się do tych słabości i zmierzył się z nimi. I wygrał – bo jest silny i konsekwentny, żeby nie powiedzieć: zdeterminowany.

Wolny, bo ma duszę artysty i jest artystą – wolnym ptakiem. Jest jedną z postaci – znaków rozpoznawczych życia kulturalnego Oświęcimia. W sposób szczególny wyraża siebie na scenie, podczas koncertów. Śpiewa, bo chce i lubi. Śpiewa, bo koncerty dają mu wiele radości i artystycznego spełnienia, ale śpiewa także, by dawać radość innym i pomagać. Zapraszany do udziału w akcjach dobroczynnych nigdy nie odmawia. Chętny do współpracy. Być może jest najczęściej występującą na różnego rodzaju imprezach osobą. Jednak angażuje się w każdy koncert bez reszty, jakby każdy był jedyną i wyjątkową.

Wolny, bo otwarty na ludzi, na drugiego człowieka. Łatwo nawiązuje kontakty z osobami w różnym wieku. Dla wielu młodych ludzi jest idolem, imponuje im zdolnościami wokalnymi, głosem, wyglądem, sposobem bycia. Mówią, że ma charyzmę...

Wolny, bo obdarzony wrażliwością, której nie ukrywa i pozwala sobie na wzruszenia. Zwłaszcza w sprawach dotyczących bliskich mu osób. Także pokrzywdzonych i tych, które potrzebują naszej pomocy.

Monika Pawłowska

To jest facet, który sam niewiele ma, a drugiemu człowiekowi odda przysłowiową ostatnią koszulę. Ilekroć organizowaliśmy w telewizji lokalnej finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, nigdy nie odmawiał. Dzik i Liga Dusz zawsze byli. I nigdy nie trzeba było ich namawiać. Ligi Dusz, niestety, już nie ma (wciąż mam nadzieję na choćby jeden koncert po latach), ale Dzik wciąż gra charytatywnie dla nie tylko chorych maluczkich.

- Dzik, Orkiestra.
- No, to gramy!
- Za ile?
- Nie ma „za ile”. Gramy charytatywnie.

Nigdy nie wziął złotówki.

Dzik powinien mieć pomnik na Rynku w Oświęcimiu. To bez wątpienia postać.

Gdy myślę „Dzik”, to myślę „rockman”. Nie alkoholik, choć to, że mu się udało zerwać z nałogiem i trwać w abstinencji, budzi wielki podziw. Po wielu jego kolegach nawet wspomnienie nie zostało. Wandzia, jego żona, powinna dostać medal za odwagę i wytrwałość. Za to, że po takich akcjach, jakie on robił, Wandzia przy nim trwa.

Zanim go poznałam, wiedziałam, kto to jest Dzik. Dla mnie, nastolatki, to był guru. Gdy już byłam dorosła i pracowałam w ZDK-u, Liga Dusz miała tu próby. Mijaliśmy się w holu. „Dzik jestem” – i dobra jest.

Z Dzikim umawiać się gdzieś na mieście to jest ka-ta-stro-fa! Po drodze pół Oświęcimia spotka. Można sobie na niego czekać. Nie ma faceta.

On zawsze pamięta o moich urodzinach. Zawsze mnie zaprasza na swoje urodziny. A niektóre urodzinowe imprezy Dzikiego huczne były, do rana. Alkohol się lał, solenizant chętnie stawiał gościom, ale sam oczywiście nigdy nie złamał swojego przyrzeczenia abstynencji.





Paweł Plinta

Dziki to dla mnie żywy dowód na to, że muzyka konserwuje. Myślę, że nauka koniecznie powinna zbadać ten fenomen! Poza tym, to boży szalenciec. Wydaje mi się, że tacy jak On pasjonaci żyją w jakimś odrębnym, własnym wymiarze. A do tego gość cholernie dobrze śpiewa...

Uczciwie przyznam, że z Dzikim znamy się głównie z widzenia. To znaczy, Dziki zawsze gdy mnie widzi, pyta: „Co u ciebie, Maćku?”. Przez te wszystkie lata jeszcze jakoś nie zdążyłem odpowiedzieć. Zresztą łaskawie na to nie czeka. Przechodzi płynnie do tego, z kim ostatnio śpiewał albo gdzie wkrótce wystąpi... No inna Liga po prostu.

Małgorzata Gwóźdź

Dziki z wielkim upodobaniem ogląda w telewizji amerykańskie filmy, „dokumentujące” ślady istot pozaziemskich na naszej planecie i jest stuprocentowo przekonany, że UFO istnieje. Dlatego myślę sobie, że i z niego taki trochę kosmita, bo jak na obywatela wszechświata przystało, Dziki wszechogarnia, wszechczuje i wszechmuzykuje.

Wszechogarnia,
bo wie, co w życiu jest najważniejsze,
błyskawicznie nawiązuje relacje z innymi,
potrafi rozmawiać z każdym – od prostego człowieka po wyżej postawionych
w hierarchii społecznej,
z wszystkimi się przyjaźni
i o wszystkich pamięta,
wszystkich potrafi obdarować,
świetnie komunikuje się z widownią na koncertach
i przez wiele lat był frontmenem Ligi Dusz.
Wszechczuje,
bo nie odmawia pomocy,
zawsze pyta, jak się ma moje dziecko,
potrafi rozładować nawet najcięższą atmosferę,
najbardziej na świecie kocha swoją rodzinę.

Wszechmuzykuje,
bo jest artystą totalnym,
śpiewając, czuje, że żyje,
muzyka jest jego pasją i spełnieniem,
z niej czerpie siły vitalne i radość,
o śpiewaniu nieustannie myśli,
słucha dużo muzyki
i bacznie przygląda się innym wokalistom.
Jest jedyny w swoim rodzaju, oryginalny i nie do podrobienia.
Żywa legenda Oświęcimia i polskiego bluesa, autorytet w zakresie zrywania z nałogiem,
człowiek cieszący się życiem.

Janusz Toczek

Będę szczery: do typu muzyki uprawianej przez Dzikiego nie miałem jakiegś szczególnej uwagi. Przez długi czas, gdy spotykałem go na ulicach miasta, którego długo, jako „przybłąda”, się uczyłem, postrzegałem go jako swego rodzaju oświęcimską osobliwość. To zderzenie „łobuzerskiego” wyglądu z iście hrabiowskimi manierami (zawsze pełen szacunku ukłon i pozdrowienie dla mnie – belfra, którego przecież nie znał...) wprawiało mnie w jakieś zawstydzenie.

Był czas, gdy Dziki niechący załazł mi za skórę. Mieszkam w bezpośrednim sąsiedztwie pewnej knajpy, która ongiś w każdy weekend wabiła swych klientów, oferując prócz piwka... karaoke. Gościem specjalnym na te „sesje” zapraszany był właśnie on. Swój popisowy numer – „Sen o Wiktorii” – na życzenie publiki Dziki powtarzał 5, 6 razy w ciągu wieczoru. I może nie byłoby w tym jeszcze nic przykrego, bo przecież robił to po mistrzowsku i z iście diabelską pasją, tyle że na wokalne popisy Dzikiego nakładały się płynące z drugiej sąsiedniej knajpy rytmy weselne. Czujecie to? – wokal Dzikiego z podkładem z „Czerwonej jarzębiny” tudzież z innego „Misia”...? Nawet nie próbujcie sobie tego wyobrazić!

Nieco później poznałem historię Dzikiego – bez dwóch zdań niezwykłą, taką, którą pewnie dałoby się „obdzielić” z pięć biografii. Wtedy też zobaczyłem w nim po prostu nadzwyczajnego faceta, bez którego to miasto nie byłoby sobą, faceta, który niezmiennie ze steranym przez życie serduchem na wyciągniętych dłoniach niemalże unosi się nad oświęcimskim brukiem. Teraz, kiedy spotykam go na ulicy, chcę mu się ukłonić jako pierwszy, ale... zawsze mnie łobuz ubiega...



Dodatek: jak posłuchać?

Nie ma płyt, ale jak śpiewa Dzik, można usłyszeć w internecie.

Na YouTubeowym kanale „Dziki”:

t.ly/tNY2O



jest kilkadziesiąt nagrań wideo. Tworzą dość reprezentatywny przegląd muzycznych dokonań Dzikiego w ciągu trzech dekad. Są tam kawałki Ligi Dusz, Lokomotywy, w której Dzik śpiewał pod koniec XX wieku, i próbki piosenek wykonywanych w ostatnich latach w duecie z Tadekiem Liszewskim. Wyjątkowy smaczek to dwa urywki telewizyjnego występu w Tele3 z 1991 roku. Niecałe cztery utwory pozwalają poczuć namiastkę Ligi na żywo.

Kolekcję z kanału „Dziki” warto uzupełnić o trzy piosenki, studyjną wersję „Odlotów”:

t.ly/_pn-



i pochodzące z kasyety „Nie tylko w piekle” dwa kawałki – „Czemu znowu ryczysz, Mała?” i „Daję Ci bluesa” – wrzucone do internetu pod jednym linkiem:

t.ly/pu5h



Zamiast bibliografii

Opisując dzikie sprawy, korzystałem z wielu publikacji. Najważniejsze z nich to:

Dziki, Biba Studio 2017, film dokumentalny do obejrzenia w serwisie YouTube;

Jacek Hugo-Bader, Audyt, rozdział: Wiesiek. Dzik z Oświęcimia, Warszawa 2018;

Radio Oświęcim, Gość w studio – Wiesław Dzik Kaniowski, wywiad z 2017 roku;

W cztery oczy – Dzik Acoustic TVK HD, wywiad do obejrzenia w serwisie YouTube;

Liga Dusz, wpis z 2009 roku na blogu: To, co mi gra, czyli muzyczny blog Piotra K.;

Całkiem niezła historia. Dzik, reportaż TVP3;

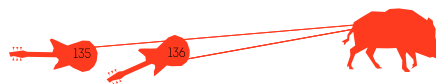
Nigdy nie szedłem z prądem mody, wywiad w serwisie wepeaceit.pl;

Monika Pawłowska, „Dzik grał na najlepszych festiwalach.

Teraz powstał o nim film dokumentalny”, artykuł w Gazecie Krakowskiej z 2017 roku.

|

Lech Chodacki



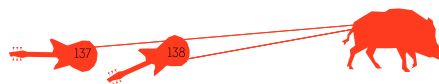
**Dziękuję Leszkowi Szusterowi, który wymyślił tę książkę, i jego współpracownikom:
Małgorzacie Gwóźdź, Joannie Klęczar-Déodat i Januszowi Toczko.**

Dziękuję również wszystkim, których nazwiska pojawiają się w tej książce.

Chciałbym też, żeby moje podziękowanie przyjęli:

Agnieszka Komendera,
Aki,
Andrzej Brózda,
Andrzej Drabek,
Bambus,
Boguś i Karina,
Damian Wilga,
Elżbieta Mostowik,
Ewelina i Marzena,
Grzegorz,
Guma,
Harnaś,
Jacek Furtak,
Jeremi Nieśpielak,
Krzysiek z G.,
Marcin Boiński,
Marcin Hattas i jego żona Stanisława,
Marcin Jacobson,
Marcin Miller,
Marek Giżycki,
Marzena Kołaczek,
Rysiek Gałgan,
śp. Sebastian Roj,
Witek Dziwlik,
Włodek Marczak,
Wojtek Drabek.

Wiesław Dziki Kaniowski





Posłowie

Książka o Dzikim? A dlaczego nie? Jeśli kogoś miałyby zdziwić, że publikacja o lokalnym rockmanie ukazuje się pod egidą MDSM-u, to pragnę wyjaśnić, powołując się na rozmowę sprzed lat z młodymi muzykami z Oświęcimia, którzy przygotowywali support w ramach Alternatywnej Sceny MDSM. Dyskutując o muzycznym potencjale miasta, przywołałem postać Dzikiego. Nie zapomnę ich reakcji. „To pan go zna? Super facet, muzycznie genialny, niepowtarzalny głos i jako człowiek – gigant, ikona! Wie pan, z czego on wyszedł?”. Uświadomiłem sobie, nie po raz pierwszy, choć było to raczej intuicyjne, że lata pracy nas, pedagogów często przynoszą mniejszy efekt wychowawczy niż wpływ autorytetu, który trafia do głów i serc poprzez niezwykły życiorys. Asocjacja z programem „Argument - Biografia” realizowanym przez Dom Spotkań (oczywiście w zupełnie innym kontekście) narzuca się sama.

Drogi Wieśka Kaniowskiego krzyżowały się z MDSM-em wielokrotnie. Jego udział w licznych koncertach, performance’ach, muzycznych oprawach wystaw czy akcjach charytatywnych zrobił z niego domownika i przyjaciela Domu. Często wspominam występ Dzikiego w ogrodach MDSM-u dla grupy BVB Dortmund, dedykowany bardzo wzruszonej tym spotkaniem byłej więźniarce KL Auschwitz Ewie Szepesi. Zdarzenie to w pełni wpisało się w przesłanie Domu Spotkań.

Jestem bardzo wdzięczny Urzędowi Miasta Oświęcim i Starostwu Powiatowemu w Oświęcimiu za wsparcie prac nad tą książką. To ważny obywatelski gest, który pozwolił udokumentować aktywność Oświęcimianina, który stał się jedną z muzycznych wizytówek miasta. Dom Spotkań, koordynując to przedsięwzięcie, włączył się do tego społecznie ważnego zadania. Bo Wiesiek to przecież PIĘKNY, DZIKI CZŁOWIEK...

|

Leszek Szuster



Autor _ **Lech Chodacki**
Koncepcja _ **Leszek Szuster**
Koordynacja _ **Joanna Klęczar-Déodat, Bożena Grzywa**
Korekta _ **Małgorzata Gwóźdź**
Projekt graficzny i skład _ **Ewa Natkaniec**
Druk _ **DRUKMANIA**

ISBN 978-83-64554-55-1

Wydawca _
Fundacja na rzecz Międzynarodowego Domu Spotkań Młodzieży w Oświęcimiu
Ul. Legionów 11, 32-600 Oświęcim
www.mdsm.pl

Partnerzy _
Miasto Oświęcim
Powiat Oświęcimski
Fabryka Maszyn i Urządzeń OMAG Spółka z o. o.
CASTORAMA Oświęcim



Fundacja na rzecz MDSM dziękuje:

Małgorzacie Gwóźdź za udostępnienie przeprowadzonych kwerend i wywiadów z Wiesławem „Dzikim” Kaniowskim.

Zebrałe i przekazane materiały stanowią bardzo istotny wkład w powstanie książki.

Zbigniewowi Staszczakowi za wsparcie realizacji tej publikacji.







